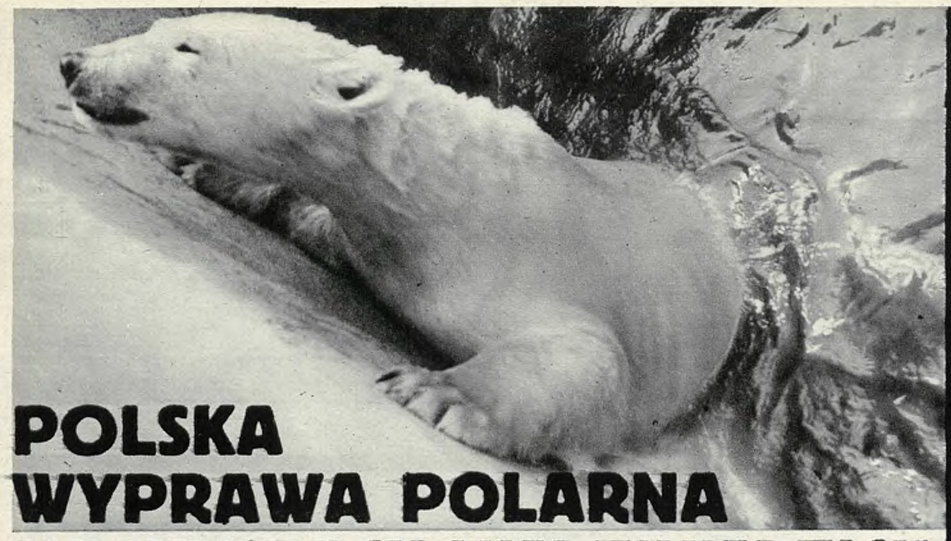
NR 35

ŚWIATOWID

35

Żegnajcie wakacje! — Żegnajcie Tatry!





POLSKA WYPRAWA POLARNA NA WYSPACH NIEDZWIEDZICH

Polska wyprawa polarna, która wyruszyła z Tronsoe na statku „Svesso", po pięciodniowej podróży wylądowała szczęśliwie na Wyspie Niedźwiedziej, która stanowi cel jej badań.

Wyspa Niedźwiedzia leży pomiędzy Spitzbergiem a północną Skandynawją, w odległości 1.700 km. od Bieguna północnego. Obejmuje ona przestrzeń 175 km.², mierzy 19 km. wzdłuż i 16 km. wszerz. Klimat tej wyspy jest znacznie złagodzony przez bliskość ciepłego prądu morskiego Golfströmu. Wskutek tego wyspa jest wolna od okowów lodowych, nawet w zimie. Średnia temperatura powietrzna roczna wynosi —4 C. Charakterystyczną cechą aury wysp Niedźwiedzich są częste mgły. Najwyższem wzniesieniem wyspy jest góra Niedoli (536 m.).

Wyspy Niedźwiedze są pozbawione wszelkiej szaty roślinnej, natomiast jest tu ogromnie dużo ptaków, jak alk, mew i zimorodków burzowych.

Zadaniem polskiej wyprawy będzie zbadanie warunków klimatycznych na wyspie Niedźwiedziej.



Członkowie polskiej wyprawy polarnej w czasie przejazdu przez Kopenhagę. Stoją od lewej: dr. Siedlecki, inż. Centkiewicz, dr. Lugeon, dyrektor Państwowego Instytutu Metereologicznego, Łysakowski i Gurzman. Nordisk Pressefoto — Kopenhaga.

MIASTO WYSTAWIONE NA LICYTACJĘ.



Typy z miasteczka Hvar.

W okresie powojennym w czasie inflacji pieniężnej, jaka nawiedziła szereg państw, liczne samorządy i miasta zarówno starej Europy, jak i w Ameryce ogarnięte zostały prawdziwym szałem inwestycyj i życia nad stan. Zaciągano pożyczki na prawo i lewo, ażeby poprowadzić energiczne rozbudowę danego miasta i olśnić jego wspaniałością przybyszów. Nic więc dziwnego, że gdy przyszedł okres skurczenia się kapitału, lekkomyślne miasta i samorządy popadły w kłopoty i niejednokrotnie stanęły w przededniu ruiny.

Nawet słoneczna Dalmacja, gdzie życie jest stosunkowo proste i tanie, nie uchroniła się przed tym szałem inwestycyjno-pożyczkowym. Piękna wyspa Lesina, czyli po chorwacku Hvar, słynąca ze swojego klimatu zbliżonego do klimatu Madery, ściągała w ostatnich czasach ogromną liczbę kuracjuszy. Lokowali się oni głównie w miasteczku Hvar, posiadającem liczne zabytki, pozostałe z okresów panowania republiki weneckiej. — Przepiękne morze i plaża zwabiały tu obcokrajowców, rozkoszujących się łagodnością klimatu, podzwrotnikową roślinnością i bajeczną kąpielą.

Ażeby utrzymać się na jakimś poziomie i rozbudować, miasteczko Hvar zaciągało liczne pożyczki, za które pobudowało hotele, sztuczną plażę, restauracje i t. d. — Gdy przyszedł jednak okres spłaty tych długów, zarząd miasta spostrzegł z przerażeniem, że nie może uiścić swoich zobowiązań. I oto słoneczne miasteczko Hvar — do którego zawijali w ostatnich czasach bardzo tłumnie Polacy, dzięki rozgłosowi jaki wyspa Lesina zyskała sobie w świecie — zostało wystawione na licytację.

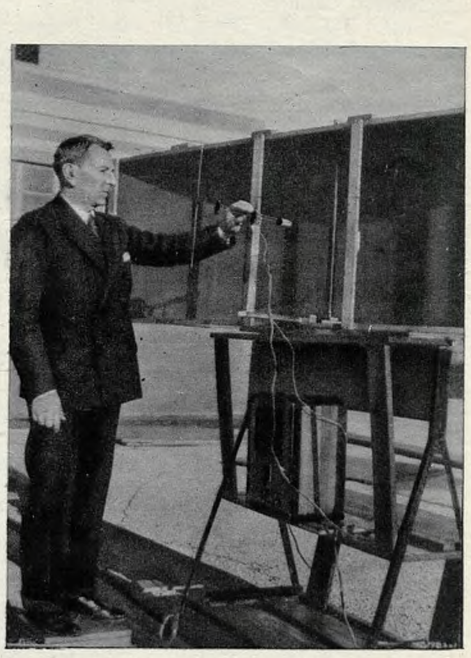
Niewiadomo, kto będzie szczęśliwym nabywcą czarownego miasteczka pełnego wspomnień włoskiej architektury. Być może, że rząd jugosłowiański wyratuje Hvar, te prawdziwą perlę przybrzeża chorwackiego, od sprzedaży z licytacji. *z. g.*



Widok na miasteczko Hvar na wyspie Hvar (Lesina).

KOMUNIKACJA Z MARSEM.

Przed kilkunastu laty zjawił się w Urzędzie telegraficznym w Londynie niejaki Mr. Robinson i podał urzędnikowi depeszę, adresowaną na planetę Mars. Urzędnik nie stropił się ani na chwilę, depeszę przyjął, obliczywszy za nią należytość, wedle taryfy dla najdalszych telegramów zamorskich, zastrzegł się tylko, że poczta nie przyjmuje żadnej gwarancji za jej doręczenie. Mr. Robinson, który był opętany myślą nawiązania łączności z okalającemi nas planetami, nie jest w swych dążeniach odosobniony. W ostatnich czasach bowiem, szereg uczonych prowadzi intenzywne badania nad rozwiązaniem tego problemu, zwłaszcza od chwili, gdy poznano krótkie fale radjowe, które mają zdolność pokonywania największych nawet przeszkód. W związku z tem inż. Muromcew, zajęty w zakładach amerykańskich Westinghouse skonstruował aparat radjowy, przy pomocy którego ma on zamiar nadawać sygnały na Marsa. Mars jest jedną z największych planet, oddalony jest od słońca o 227,7 miljonów km. Uczeni przypuszczają, że jest on niezamieszkały, gdyż warstwa atmosfery, otaczająca tę planetę jest bardzo ubogą w tlen. W marzeniach o komunikacji międzyplanetarnej Mars, obok księżyca znajduje naczelne miejsce, jako planeta najbardziej do ziemi zbliżona. Odległość ta waha się od 56 milj. km. — 400 miljonów.



Inż. Muromcew przy swoim aparacie radjowym, za pomocą którego ma on nawiązać łączność z Marsem.

OBRAZEK Z GRANICY POLSKO-SOWIECKIEJ.



Biegnąca na przestrzeni 1417 km granica polsko-sowiecka pilnowaną jest przez Korpus Ochrony Pogranicza. Drut kolczasty oddziela tu dwa światy, cywilizację zachodnią od wschodniej. Służba na pograniczu jest bardzo ciężka i wymaga dużej ofiarności i poświęcenia. Na porządku dziennym są bowiem próby nielegalnego przejścia granicy przez agentów sowieckich. Na zdjęciu fragment granicy polsko-sowieckiej. Pod białym słupem siedzi dowódca odcinka por. Ornawski z gronem swoich gości. Po przeciwnej stronie dwaj strażnicy bolszewiccy.

WYPRAWA NA DURNY SZCZYT W TATRACH.



Polana Cyrla w drodze do Morskiego Oka i szczyty nad Stawami Toporowemi.

Malował [redacted]

Durny (2.625 m. wysoki) jest jednym z najhonorniejszych tatrzańskich szczytów, zajmując czwarte co do wysokości miejsce wśród naszych olbrzymów. Powiadają, że Durny dlatego, iż ulokował się między wyższemi od siebie Łomnicą a Lodowym i przez to stracił na potędze. — W każdym razie piękny to szczyt. Zadziwia z daleka wspaniałą zębatą granicą, którą opada ku Baraniej przełęczy, imponuje od strony Kiezmarskiego stawu ogromem budowy skalnej i zawrotnem wzniesieniem nad poziom wody.

Projekt wyprawy na Durny przyjmujemy jednogłośnym aplauzem i w pogodny ranek pomykamy Harlejem ku Łysej Polanie. — Motor idzie wesoło i głośno na tle zadumanej ciszy lasów, ciągnąc za sobą po białych serpentynach wstążkę kurzu. Wiezie nas troje, trzy plecaki, linę, czekan. Gościniec ożywa powoli rannym ruchem wycieczkowym, a góry roztapiają się zupełnie w świetlistej powodzi słońca. Ulokowawszy motocykl w Łysej, ruszamy przez most na Białce na czeską stronę. W mrocznych głębiach doliny Jaworowej, w malowniczej dolinie Koperszadów niema żywej duszy. Pachną lasy i skoszone łąki, z zagonnych świerków migają potężne sylwety Jaworowych szczytów, Lodowego, Łomnicy. Po długiej wędrówce w upale przez rozległe pastwiska w okolicy przełęczy pod Kopą, wyziera nagle ku nam z za gęstwy limb i kosówek skalne zamczysko, opasujące Kiezmarski staw. Drzemie on w dzikiem otoczeniu wspaniałych litych ścian Małego Kiezmarskiego, Durnego, Czarnego i Kołowego szczytu i oryginalnej smukłej Jastrzębiej Turni, o której mówi legenda, że w szczyt jej oprawny jest rubin, co żarzy się o wschodzie krwawym blaskiem. — Wiszące dolinki: Jastrzębia, Kołowa i Dzika urywają się do stawu pionowemi progami, po których szumią siklawy, a głębokie wcięcia przełęczy znaczą się białemi wstęgami śniegów. Sam staw nieduży, ale dziwnie szmaragdowy, ginie jakby wśród dzikiej potęgi napierającyh go zewsząd ścian skalnych. Popołudnie spędzamy na studjowaniu map i okrążaniu stawu. Przeciw Durnemu przemawia brak czasu, bo już nazajutrz wieczorem musimy być w domu, olbrzymie wzniesienie 1.100 metrów nad poziom stawu i owe śniegi, które jedną białą płachtą zalegają dziki kocioł u stóp Wideł, Łomnicy i Durnego. Jednak spróbujemy szturmować! Właściciel zimnego kamiennego schroniska oświadcza, że w tym roku żadna partja nie była jeszcze na Durnym — tem lepiej! Będziemy pierwsi. — „Wcinamy“ kolację, dysputując ciągle: „Jak się obsuniemy po śniegach, to ładna jazda, aż na pargi“ — „Jak nas zajdzie mgła, to możemy się trzy dni pętać po ścianach“ — „Jeśli nie trafimy na ową rynnę, to zajdziemy na podcięte płyty“ t. p. Po kolacji oglądamy raz jeszcze ścianę Durnego i brzydkie chmury, ciągnące z za grani — horoskopy niepewne, nastrój nieco naprężony. Idziemy spać przykładnie po 8-mej, by o 3-ciej w nocy zerwać się na terkot budzika. Jakże jest ciemno, zimno i śpiąco! Po co nam ten Durny i te śniegi i ta perspektywa „jazdy, aż na piargi?!“... — o 3-ciej rano wyrzekłby się człowiek chętnie wszystkiego!

Punkt 4-ta zastaje nas świt w pełnym rynsztunku nad stawem. Niesamowity ranek! Z pościeli pierzastych chmurek wstaje z nad Tatr Bielskich jaskrawo czerwone słońce i przez filtr owej czerwieni przecedza pierwsze swe promienie. Jakiś nieziemski odblask pada na stalową szarość szczytów, świat tonie jakby w mgle różowej, a powietrze, aż ściska mrozem. Raźno rwiemy naprzód, wdzierając się na stromy próg dolinki Dzikiej skalistą grzędą, ubezpieczoną łańcuchem. Teraz powódź czerwonych blasków pada na siklawę, rozpylającą się w powietrzu i rzuca na nią przecudną, lekką tęczę. W zawrotnych wysokościach dominuje czub Durnego. Jazda w piargi, śniegi i bezdroża! Płoszymy kozice w trawach zlanych rosą i słupkujące przed norami świstaki. — Już głęboko pod nami staw z uśpionem schroniskiem, ranek roziskrza się pełnym blaskiem. Wchodzimy w mroczny kocioł pod Łomnicą, od morza śniegów ciągnie dziki chłód, czarne ściany wokół rzadko widują słońce. Powierzchnia śniegu dość miękka, ostrożnie wybijamy długi rząd stopni i windujemy się ku jasnym ścianom Durnego. Wkrótce białe morze już za nami, teraz zaczyna się problem „drogi“: szukaj jej wśród płyt, ścian, żlebów, piargów, trawiastych zachodów, tracąc z oczu szczyt i łatwo mogąc stracić kierunek. Szukaj, węsz, próbuj! Rozpatrzywszy dokładnie ścianę od śniegów — zapuszczamy się w jej tajemnicze zakamarki. Gładkie płyty ustępują miejsca zawalonym rumowiskami trawiastym zachodom. Potem otwiera się labirynt żlebów, czarnych, stromych i zapchanych ruchomemi głazami. Trzeba się wprost skradać po nich, by nie ściągnąć na siebie całych lawin kamiennych. Znów trawniki, znów gładkie rynny skalne. — Wyszliśmy już z granicy cienia i praży w nas zwycięskie słońce. Już z poza potrzaskanych ścian wystercza w pobliżu szczyt Małego Durnego i wąziutka Durna przełączka. Osiągamy ją poprzez kilka żeber skalnych. Zmęczony śledzeniem w ścianie wzrok biegnie w dół ku stawom Spiskim. Czarna, lita grań Durnego wali nam się pod nogi — wdzieramy się na nią z zapałem.

8-ma, szczyt!! W błękitną kopułę nieba wybiega nagle bliska smukła piramida Łomnicy, a z niej dolatują na dzień dobry wesołe wołania turystów niemieckich. Patrzymy z zachwytem na jej dumną zachodnią ścianę, na grzebień grani Wideł, co wbija się klinem w jej stalowy bok, na zieloną osadami usianą Słowaczyznę, na morze szczytów i łańcuchów górskich. Wybija się na pierwszym planie Lodowy i szarpana Pośrednia grań, hen na zachodnim horyzoncie Gierlach, Krywań i czteropalczasta Wysoka.

Krótkie są piękne chwile szczytowe! — O 9-tej ostatnie pożegnanie królowej tatrzańskiej i odwrót ku przełączce Durnej po litych blokach o odcieniu stali. A potem znowu „pętanie się“ w labiryncie skał, płyt, żlebów, w gmatwaninie zaułków skalnych, w ruchomych morzach piargów, w bujnych, O 1-szej siedzimy już pod schroniskiem, obserwując zdobyty szczyt, który rano jeszcze wydawał się tak tajemniczy i niedostępny.

Powolny, smętny odwrót poprzez pola rozpachniałych w słońcu kosówek, ponad Białe Stawy, Votrubovą Chatę, przez łagodne stoki pod przełęczą. Siedzi na niej pasterz z dwoma wilkami i melodyjnem zawodzeniem na trąbie zwołuje rozprószone bydło do wodopoju. Już od malowniczej Jaworzyny bije w nozdrza zapach grabionych sian. Już pod nogami graniczny most i szumiąca Białka.

Królewski zachód roztacza się nad krainą szczytów. W chłodzie wieczoru zwalniamy Harlejowi pędu i ze szczytu Porońca posyłamy ostatnie spojrzenie skalnej grupie Durnego. — Obramowana śniegami, różowa w słońcu i dziwnie już daleka zasuwa się zwolna za czarne sylwety drzew.

I taka zostanie już w pamięci.

Marja Sandoz (Zakopane).



Na Szczycie Durnego, na lewo p. M. Sandoz, autorka feljetonu.

Durny i Czarny Szczyt nad Zielonym Stawem Kierzmarskim, w głębi Dzika Dolina i Barania Przełęcz.

ODSZEDŁ WIELKI ARTYSTA.



Ś. p. Marjan Jednowski, znakomity artysta teatru krakowskiego zmarł dnia 16-go sierpnia b. r. w Krakowie.

Po niedługim stosunkowo żywocie, bo w 59-tym roku życia — lecz po długiej, bardzo długiej pracy na scenie przedewszystkiem teatru krakowskiego, oprócz lwowskiego i kilku prowincjonalnych — zmarł w Krakowie artysta dramatyczny Marjan Jednowski, aktor, reżyser i pedagog w szkole dramatycznej.

Teatrowi krakowskiemu z jego zgonem ubył artysta dużej miary, siła cenna i niepospolicie a wszechstronnie użyteczna. Lecz powiedzieć tylko teatrowi krakowskiemu, jest to mało — trzeba powiedzieć: teatrowi polskiemu wogóle. Śp. Marjan Jednowski bowiem pracował w teatrze krakowskim tak długą przestrzeń czasu, że jego oddziaływanie na publiczność teatralną sięgnęło znacznie dalej poza obręb samego ściśle Krakowa.

Pomyślmy: 34 lata — to znaczy 14 lat po wojnie, 4 lata podczas wojny i 16 lat przed wojną. Szesnaście lat przedwojennego życia polskiego objęły występy Marjana Jednowskiego w szeregu ról na scenie teatru krakowskiego — szesnaście lat w tych właśnie czasach, które były decydujące dla rozwoju duchowego całego naszego społeczeństwa we wszystkich zaborach.

W tym okresie przedwojennym rozkwit teatru krakowskiego był olbrzymi, poziom wysoki, znaczenie pierwszorzędne. Sceny warszawskie były ograniczone w swych możliwościach przez cenzurę i ucisk caratu, tembardziej teatr polski w Poznaniu przez ucisk pruski. Sztuce i myśli narodowej służył, cały wielki polski repertuar mógł grać i grał świetnie tylko teatr krakowski.

Były to czasy, kiedy do Krakowa do teatru jeździło się z Warszawy i Łodzi, z Kielc i z Zagłębia Dąbrowskiego, z całego Królestwa, a tak samo z pod zaboru pruskiego ze Śląska i aż z Poznania — aby zobaczyć dramaty Słowackiego i sztuki Wyspiańskiego, aby wogóle móc zobaczyć w teatrze wszystko to, co najbardziej poruszało polskie serca i polskie umysły.

Jechało się więc na „Kordjana", na „Księdza Marka" — a wtedy widziało się w rolach cara, czy rabina właśnie Marjana Jednowskiego.

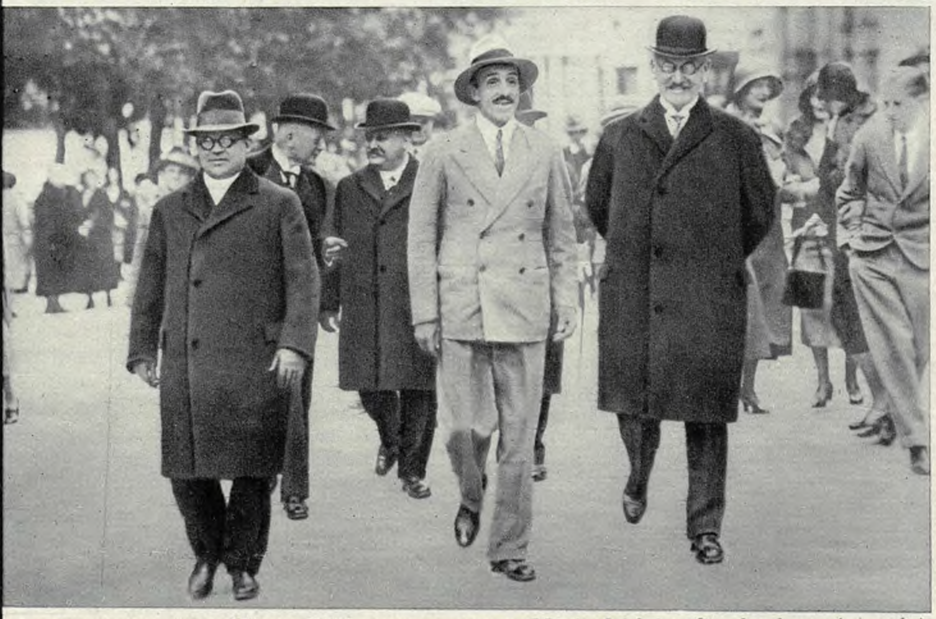
A ponieważ przy tym „ciągu" publiczności z całej Polski na teatr krakowski, teatr ten rozwijał się, żył życiem niezwykle wytężonem i wszechstronnem, więc jechano do Krakowa na cały wielki repertuar polski i obcy. A wtedy w „Księciu Niezłomnym" można było zobaczyć Jednowskiego jako króla Fezu, w „Balladynie", jako pustelnika, w „Kościuszce pod Racławicami", jako lirnika, w „Pannie Mężatce" Blizińskiego i w „Panu Damazym", jako pułkownika, lub rejenta Bajdalskiego. A nadto w różnych rolach we wszystkich prawie wielkich dramatach Szekspira i w sztukach Ibsena, w utworach Rittnera, czy Perzyńskiego...

Marjan Jednowski miał naprawdę niezwykle wielki zakres ról, z których wywiązywał się doskonale. Takim był np. w rolach „kontuszowych", w których miał godność, pewność siebie, wzięcie się, gest właściwy, odpowiedni, coraz trudniejszy do naśladowania, czy oddania przez artystów młodszego pokolenia. Pomagały mu w tym kierunku wybitne, wyjątkowe warunki zewnętrzne, które decydowały o jego powodzeniu zresztą także i w innych rolach. Wiele reprezentacyjnych ról leżały na nim „jak ulał". Warunki te, obok niezaprzeczonego talentu, czyniły go tak użytecznym — a użyteczność ta dla sceny zczasem jeszcze bardziej się wzmogła, gdy wsparło ją wieloletnie doświadczenie, znajomość dawnych kreacyj, dawnej wystawy wielu sztuk, pamięć całej tradycji teatru. To właśnie uczyniło śp. Jednowskiego cenionym reżyserem w teatrze i cenionym pedagogiem w miejskiej szkole dramatycznej w Krakowie.

To też zgon jego scena polska słusznie do swych dużych strat zaliczyć musi.

St. Mróz.

NIE WIEDZIAŁEM O NICZEM — MÓWI KRÓL.



B. król hiszpański Alfons XIII. na spacerze w Marienbadzie (Czechosłowacja), gdzie przebywa obecnie na kuracji. Atlantic-Photo.

B. król hiszpański, Alfons XIII, znajduje się od roku w podróży. Podróż to przymusowa, ponieważ właśnie przed rokiem rewolucja pozbawiła go tronu. Zapobiegliwy monarcha zdołał jednak zabezpieczyć sobie przyszłość, ulokowawszy w bankach angielskich około 18.000.000 dolarów. Teraz więc może sobie pędzić żywot beztroski i odwiedzać swoich możnych kuzynów i krewnych we wszystkich państwach Europy. Najlepiej Alfons XIII czuje się we Francji, gdzie publiczność darzy go wielką sympatją i wita oklaskami. Bardzo gościnną okazała się dla niego także ziemia angielska, gdzie spotykał się z towarzyszem niedoli, niedawno tak tragicznie zmarłym ekskrólem portugalskim Manuelem. Teraz markiz Toledo (taki jest pseudonim b. króla) zawitał do Czechosłowacji na zaproszenie księcia Lobkowitza i hr. Zamoyskiego. I kiedy tam sobie w Marienbadzie najspokojniej popijał wodę dla poratowania zdrowia, nagle gruchnęła wieść, że w Hiszpanji wybuchła nowa rewolucja, a raczej nowy zamach stanu, tym razem monarchistyczny. Zamach ten jednak został szybko stłumiony, a sprawcy jego aresztowani i postawieni przed sąd wojenny. Oczywiście przypuszczano powszechnie, że główną sprężyną tych wypadków był „gość marienbadzki". Król jednak zaprzeczył kategorycznie tym pogłoskom.

— Nie wiedziałem o niczem, nie mieszam się do tych spraw — odparł Alfons XIII natrętnym dziennikarzom.

Z oczu zaś jego widać było, że mówił prawdę, bo czyż warto w dzisiejszych czasach kryzysu, bezrobocia i stagnacji zamieniać beztroski Marienbad, czy cień piramid egipskich na duszną atmosferę rady gabinetowej, radzącej pod przewodnictwem króla nad problemami, które rozwiązać się nie dadzą? Czyż nie lepiej przyglądać się zawodom w Wimbledon, albo obdarzyć autografami przystojne Amerykanki na Riwierze, czy na wyspie Malcie?

Z pewnością... tak.

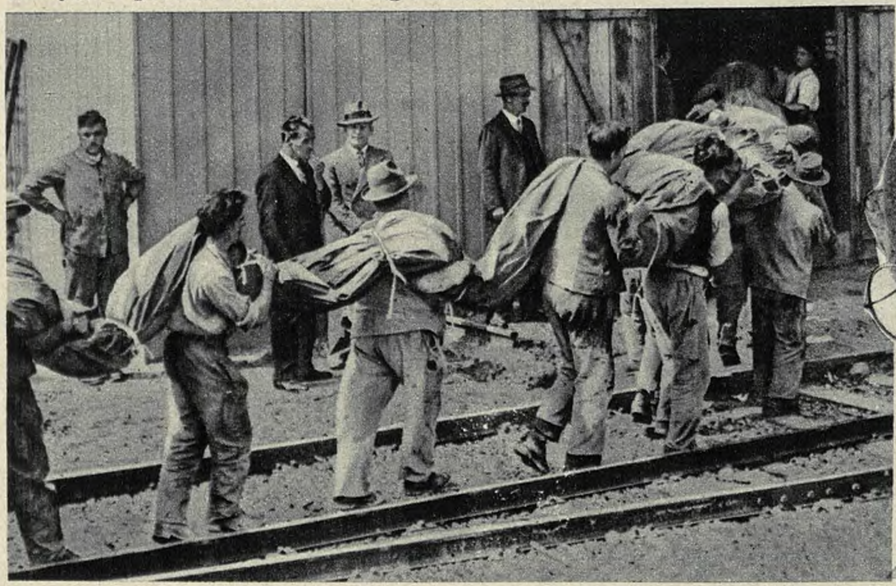


Sroga zemsta dosięgła markiza de Luca de Tana w Sewilli, który stanął na czele sprzysiężenia przeciwko republice. Tłum bowiem spalił jego pałac, wyniósłszy przedtem na ulicę (na zdjęciu) bezcenne dzieła sztuki, które tę rezydencję zdobiły. N. Y. Times

II. LOT prof. PICCARDA DO STRATOSFERY.

W tych dniach prof. Piccard z Brukseli odbył swój II-gi lot balonem do stratosfery i wylądował szczęśliwie w pobliżu Mantui, osiągnąwszy wysokość 16.500 m. Po raz pierwszy dzielny ten uczony wzniósł się do stratosfery dnia 27-go maja ub. roku w Augsburgu i opuścił się w Alpach, w pobliżu Gurgl, na pograniczu włosko-austrjackiem. Przez stratosferę rozumie nauka warstwy atmosfery, leżące na wysokości 12 km. od ziemi. Powietrze tam jest niesłychanie rozrzedzone, i wolne od pary wodnej, temperatura zaś tych podniebnych obszarów sięga do minus 55 stopni c. i niżej. Dlatego podróż do stratosfery musi odbywać się w hermetycznie zamkniętej kabinie.

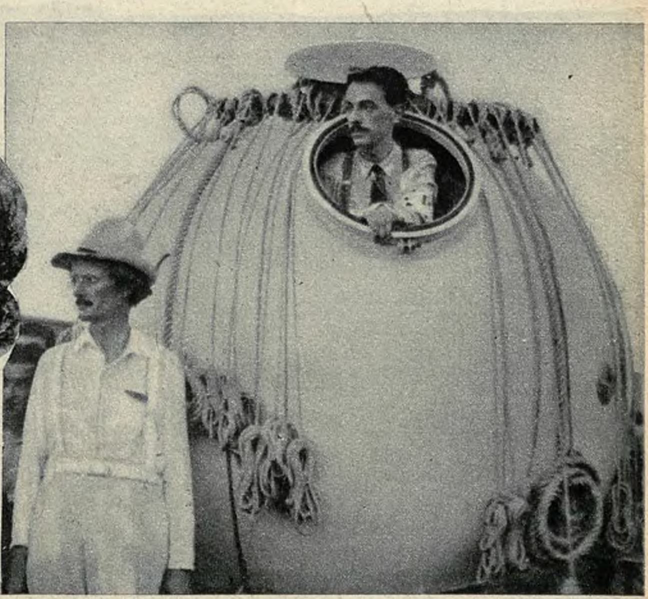
Podróż prof. Piccarda finansowało, założone w r. 1928 z inicjatywy króla belgijskiego Alberta „Towarzystwo poszukiwań naukowych". Prof. Piccard zamierza w roku następnym po raz trzeci wznieść się do stratosfery, tym razem jednak w północnej Ameryce, w pobliżu bieguna magnetycznego, pragnąc zbadać wpływ promieni kosmicznych na magnetyzm ziemski. Nadmienić należy, że wielu badaczy uważa, iż stratosfera nadaje się najlepiej do rozwiązania problemu stałej komunikacji pomiędzy Europą a Ameryką i że w niedalekiej przyszłości tą drogą podróżować będziemy pomiędzy nową a starą ziemią. Wyprawy prof. Piccarda w stratosferę niewątpliwie przybliżają dzień realizacji tych gigantycznych planów któremi zainteresował się ostatnio Ford, przystępując do budowy dwóch samolotów stratosferycznych, nad któremi komendę obejmie słynny admirał Byrd, znany ze swoich wypraw podbiegunowych i przelotu nad obu biegunami.



Pięćdziesięciu robotników niesie ostrożnie powłokę balonu prof. Piccarda do gazowni w Schlieren pod Zurychem, gdzie została ona napełniona gazem.



Bohater lotów stratosferycznych prof. Piccard.



Prof. Piccard i jego towarzysz lotu, asystent Cosyns na lotnisku w Zurychu. R. nke.ecenS

NOWY SZTANDAR DLA DZIECI WARSZAWY



Kompanja sztandarowa 21-go pułku piechoty, podczas składania przysięgi na pl. Teatralnym w Warszawie.

Ag. fot. „Światowida":

21 pułk piechoty, w 14-tą rocznicę swojego powstania w Polsce niepodległej a w 125-tą istnienia pułku „Dzieci Warszawy" w dawnej Polsce otrzymał od stcł. m. Warszawy chorągiew pułkową. Wyhaftowany na niej jest herb Warszawy, oraz napisy ważniejszych bitew, stoczonych przez ten pułk. W związku z przyjęciem sztandaru dowódca pułku płk. E. Dojan-Surówka wydał do swoich żołnierzy rozkaz, w którym wyraża on przekonanie, że okażą się oni gcdnymi następcami tych żołnierzy dawnej Polski, którzy umieli dla niej umierać nietylko na polu chwały, ale również na szubienicach Cytadeli i że potrafią oni stać na straży najdroższych ich sercu haseł: „Honor i Ojczyzna".

Wieczorem odbył się na pl. Gwardji apel poległych, gdzie przy świetle palących się stosów drzewa i pochodni cdczytano nazwiska wszystkich poległych w bojach pułku oficerów, podoficerów i strzelców. Uroczystości tej asystowały tłumy Warszawian.

PRZED BUDOWĄ PORTU RYBACKIEGO W WIELKIEJ WSI.



Widok na morze i statki rybackie z Jastrzębiej Góry. W r. 1930 miała Polska 1950 motorów rybackich. Wypierają one zupełnie t. zw. „pomeranki", czyli łodzie żaglowe. Najmniejszy postęp wykazuje, jak dotąd, motoryzacja łodzi w okolicy Dąbek—Wielka Wieś, z powodu braku odpowiedniego portu.



Letniczki zakupujące świeżo wędzone ryby na Helu. Ilość poławianych w naszem morzu ryb stanowi zaledwie 2 proc. zapotrzebowania całego kraju, które wynosi rocznie około 130.000 ton. Do wędzenia dla własnych potrzeb posiadają rybacy na Helu około 40 pojedyńczych pieców.



Wędzenie flonder w Karwi (powiat pucki). Wędzarnie nasze na wybrzeżu przerabiają głównie szproty i to w ilości 40% całorocznych połowów, węgorzy 40%, śledzi 20%, płastug 10% i łososi 5%. Pierwsza wędzarnia ryb została założona w Chłapowie w 1899 roku przez braci Wolff.

Kiedy p. Prezydent Rzpltej bawił na Święcie Morza w Gdyni zjawiła się u niego delegacja Kaszubów, prosząc o przyspieszenie portu rybackiego w Wielkiej Wsi. Życzeniu Kaszubów stanie się zadość. Oto bowiem ministerstwo przemysłu i handlu opracowało już plan budowy takiego portu na naszem wybrzeżu. Port ten stanie w Wielkiej Wsi. Kosztorys na budowę tego portu został ustalony na trzy i pół miljona złotych.

Ta decyzja ministerstwa przemysłu i handlu otwiera zupełnie nową erę w dziejach polskiego rybołostwa morskiego, stwarzając należyte warunki dla jego rozwoju, a przedewszystkiem dla rybołostwa dalekomorskiego.

Nowo wybudowana chłodnia i hala rybna w Gdyni pozwoli na skierowywanie transportów świeżych ryb na nasze wybrzeże, skąd rozchodzić się one będą do 30 krajowych zakładów przemysłu rybnego. W ten sposób Polska uniezależni się zupełnie od drogiego pośrednictwa niemieckiego portu Altony, który do niedawna posiadał monopol w tym kierunku.

Nasze rybołostwo morskie dzieli się: na przybrzeżne, bałtyckie i dalekomorskie.

Przybrzeżne rybołostwo odbywa się na t. zw. wodach terytorjalnych, w pasie szerokości 3 mil morskich t. j. około 5 kilometrów od brzegu.

Polskie wody terytorjalne zaczynają się na zachodzie od ujścia rzeki Piaśnicy, otaczają półncony brzeg Helu, rozciągając się na 3 mile na wschód od linji prostej łączącej koniec półwyspu Helu z punktem leżącym koło Oksywia i obejmują obszar 769 km. kwadratowych. Cała zatoka pucka na zachód od tej linji t. zw. Małe Morze została uznana, jako wewnętrzne wody polskie.

Ten pas przybrzeżny jako najbliższy i nie wymagający do połowu na nim większych kutrów był i jest najsilniej przez naszych rybaków eksploatowany. Poławia się tam wszystkie gatunki naszych ryb morskich, stosując rozmaite metody połowu.

Na duże wędki t. zn. Takle bardzo pomysłowo urządzone i setkami zapuszczane do głębokości 20 m. łowi się łososie i płastugi, cz. flondry. Węgorze poławiają zapomocą żaków cz. więcierzy, zaopatrzonych w boczne skrzydła, które umocowują rybacy na dnia morza na znanych miejscach wędrówek tej tajemniczej ryby. Najlepsze jednak rezultaty osiąga się z połowów rozmaitego rodzaju sieciami.

Z pławnicami, długiemi do 250 m. sieciami o dużych okach wyruszają rybacy wieczorem na połów łososia. Gdy noc zapadnie całe morze na miejscach połowu znaczą tańczące na falach światełka zapalonych latarni, umieszczonych na pływakach sieci i na łodziach.

Trawlami t. j. dużymi niewodami ciągnionymi po bokach przez dwa kutry łowi się szproty, płastugi, śledzie, dorsze cz. pomuchle, łososie i inne drobniejsze ryby.

Aby pokryć znaczne koszta takich sieci łączą się Kaszubi w sezonowe związki rybackie dla wspólnej pracy t. z. z holenderska „maszoperje", przyczem zdobycz z połowu rozdziela się na równe części t. zn. „party".

Z roku na rok rośnie cyfra naszych połowów, a na miarę intenzyfikacji połowów przybrzeżnych wskazuje fakt, że w ostatnim roku złowiono tam 6.000 ton ryb, co stanowi rekord ostatnich lat dwunastu (w 1922 r. złowiono ogółem 3.700 ton ryb).

Po udatnych próbach rybacy nasi przekonali się, że i na pełnem morzu połowy są dobre tembardziej, iż łowią się ryby większe, niż na wodach przybrzeżnych. Rząd polski w dobrze zrozumiałym interesie popiera te zamierzenia i w tym celu wypożycza rybakom większe kutry motorowe z Morskiego Instytutu Rybackiego.

Nie na tem koniec. Niedawno, bo jeszcze rok nie minął, kiedy po raz pierwszy wyruszyły z Gdyni statki nowo powstałego Polskiego Towarzystwa dla połowu śledzi (Mopol) na dalekie wody Morza Północnego. Nasi młodzi rybacy pod kierownictwem doświadczonych rybaków holenderskich szkolą się na prawdziwych wilków morskich, by wkrótce samodzielnie pracować na dalekich morzach.

W ten sposób weszli Polacy w skład międzynarodowych rybaków oceanicznych, a mowa polska rozlega się odtąd hen, aż na rozległych wodach Atlantyku.

Akcja ta zapoczątkowana przez jedno tylko towarzystwo, rozporządzające niewielkim jeszcze taborem 8 statków, odrazu podwoiła nasze rybołóstwo morskie i przyczynia się powoli do zmniejszenia importu śledzi, które jak wiadomo, stanowią bardzo tanie i zdrowe pożywienie najszerszych warstw ludności.

Praca rybaka morskiego jest niesłychanie trudna i niebezpieczna. Wymaga dużego wysiłku i silnych charakterów, tych prawdziwych pracowników morza i jako tacy winni być nasi rybacy oceniani.

* * *

Sprawy rybackie na naszem wybrzeżu podlegają Morskiemu Urzędowi Rybackiemu. Początkowo mieścił się on w Wejherowie, w 1930 r. zaś został przeniesiony do Gdyni do własnego gmachu. Urząd ten utrzymuje straż rybacką, powołaną do dozoru na morzu, a ponadto sporządza statystykę połowu, ich zbytu, oraz stanu gospodarczego rybaków. Organem zwierzchnim urzędu jest ministerstwo przemysłu i handlu.

Pomoc kredytową dla rybołostwa okazują: Państwowy Bank Rolny, który wybudował 60 domów rybackich, współdzielnia Stowarzyszenia rybaków w Gdyni i Komunalna Kasa Oszczędności w Pucku.

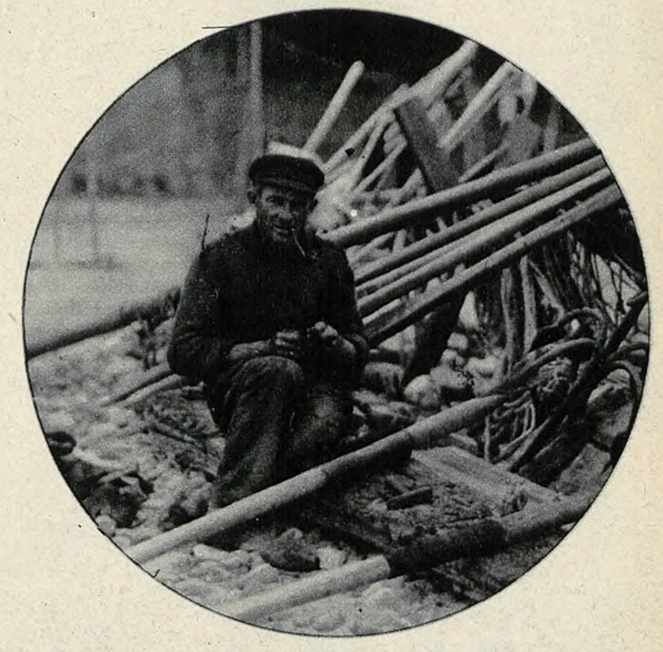
Dla zachęcenia rybaków do dalszych podróży wprowadzone zostały przez urząd rybacki premje, wypłacane za wyjazdy, trwające ponad dwa dni. Zasiłki zwrotne używane są na budowę nowych kutrów i budowę wind, niezbędnych na kutrach dla uprawiania połowów włokami.

W ścisłej współpracy z urzędem pozostaje morski Instytut Rybacki, którego najważniejszem zadaniem jest wykrywanie na morzu nowych miejsc połowu, mogących służyć rybakom i nabywanie wzorowych statków i narzędzi rybackich. Instytut posiada statki badawcze „Starnia" i „Ewa". Kierownictwo tego ostatniego statku należy do zasłużonego ichtjologa p. Józefa Borownika, i komisji do której wchodzą: prof. Siedlecki, dr. Lubecki, p. Hryniewiecki i p. Dixon.

Bardzo ważnem jest zaopatrywanie rybaków w narzędzia połowu. Niestety jak dotąd nie mieliśmy w kraju ani jednej fabryki sieci. Dopiero w 1930 r. powstała pierwsza tego rodzaju fabryczka p. Oszwałdowskiego w Chojnicach.

Taki jest w najgłówniejszych zarysach rozwój rybołostwa morskiego. Świadczy on, że i na tem polu zrobiono wiele a nawet więcej, niż na to dozwalały ciężkie warunki ekonomiczne.

Stanisław Leo.



Typ rybaka morskiego z Orłowa. Na wybrzeżu polskiem zamieszkuje około 1.600 rybaków, którzy zarejestrowani są w Morskim Urzędzie rybackim. Sprzedają oni rocznie ryb za trzy i pół miljona złotych, czyli, że roczny dochód jednego rybaka wynosi od 2.000 do 3.000 złotych. Wartość ich sprzętu rybackiego (kutry, sieci) wynosi około sześć i pół miljona złotych.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ „ŚWIATOWIDA".



Port rybacki na Helu. Hel jest ośrodkiem przywozu wątłuszy (dorszy), głównie z Danji. W r. 1930 przywieziono tutaj na 41 statkach 339.747 kg. tej ryby.



Statki rybackie we Wielkiej Wsi. Tutaj powstanie wielki port rybacki dla rybaków z Wielkiej Wsi, Chłapowa, Swarzewa, Karwi i Chałup.

PO MISTRZOSTWACH ŁUCZNICZYCH.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AJENCJI FOTOGRAFICZNEJ „ŚWIATOWIDA".



Łuczniczy mistrz Polski p. Reith.



Tarcza mistrza świata p. de Rons (Belgja).



P. de Rons z Belgji (na zdjęciu), który zdobył mistrzostwo łucznicze świata na zawodach w Warszawie,

Międzynarodowe zawody o mistrzostwa łucznicze świata, jakie w tych dniach odbyły się w Warszawie przypomniały światu tę broń, która teraz coraz bardziej wchodzi znowu w użycie i to zarówno w myśliwstwie, jak i w konkurencjach sportowych.

Łuk jest jedną z najstarszych broni, która pojawia się już w czasach przedhistorycznych u wszystkich niemal ludów pierwotnych, czy to będą Murzyni, Indjanie, czy też Mongoli, czy wreszcie ludy koczownicze, które w pierwszych wiekach po Chrystusie zalały Europę. Upadek łucznictwa w Europie zaczyna się od końca XVI w., t. j. z chwilą kiedy pojawia się broń palna. W Polsce łuk przetrwał aż do końca XVII-go wieku, zwłaszcza w jeździe lekkiej, gdzie szczególnie nadawał się do szybkiego użycia. Najlepsze łuki wyrabiano w Krakowie, gdzie w XIV-tym wieku słynęli nadworni łucznicy Władysława Jagiełły, Ścibor, Bogusławski, Jaśko i inni. Do wyrobu łuków używano drzewa cisowego. To też sadzono u nas lasy cisowe specjalnie dla potrzeb wojska. Polskie słownictwo łuczne kształtowało się pod wpływem tatarszczyzny, chociaż mamy też i tutaj częściowo własną terminologję. I tak łuk jest słowem polskiem, jak również grot (ostrze strzały), natomiast z tatarskiego pochodzi kołczan, taftaj i sajdak. Sajdak jeszcze do 1775 r. był symbolicznym znakiem oficera chorągwi pancernej. Do najświetniejszych łuczników należał król Jan Sobieski, którego łuk i sajdak znajduje się w skarbcu klasztoru Jasnogórskiego.

Pod Grunwaldem wojska polskie zetknęły się z zaciężnemi łucznikami angielskiemi, którzy wtedy mieli opinję najlepszych w świecie. Posługiwali się oni łukami 3-łokciowemi, a nośność ich strzał wynosiła od 200—300 metrów, ilość zaś miotanych strzał do 12-tu na minutę. Organizacja wojsk łuczniczych osiągnęła w Anglji swój najwyższy stopień rozwoju za czasów Elżbiety (1569—1603). We Francji łucznictwo ma także bardzo piękną kartę. Już bowiem w IX-tym wieku opat de Saint-Medard les Soissons powierzył straż nad relikwjami św. Sebastjana kompanji gwardji łuczniczej, zwanej potem wolnymi łucznikami. Potężne to zrzeszenie przetrwało aż do czasów wielkiej rewolucji.

Renesans łucznictwa sportowego zaczyna się z początkiem XIX-go wieku w Anglji. Około 1850 r. Anglik Ford ustanowił szereg rekordów, co prawda nieoficjalnie, przy strzelaniu do tarczy, mającej 4 stopy średnicy, które dotąd nie zostały pobite. I tak strzelając na odległość 90 m na oddanych 72 strzał, trafił 71 razy, przy dystansie 72 m, 48 na 48, przy dystansie 54 m, 24 na 24.



Trzecie miejsce w mistrzostwach zespołowych zdobyła polska drużyna kobieca w składzie: (od lewej) pp. Królówna, Kurkowska i Trajdosówna.

Od tego czasu sport łuczniczy zaczyna się coraz bardziej rozwijać we wszystkich krajach Europy, a przedewszystkiem w Belgji, Francji, Szwajcarji, po wojnie zaś w Polsce i Czechosłowacji. W czasie wielkiej wojny angielskie i francuskie wojska kolonjalne posługiwały się z powodzeniem łukiem, czy to gdy chodziło o przerzucenie meldunku i rozkazu na kilkadziesiąt kroków, czy też o sprzątnięcie cichaczem wysuniętej placówki. W takich wypadkach łuk był bronią niezastąpioną.

Z pośród używanych łuków na uwagę zasługują dwa zasadnicze typy, a mianowicie krzywy łuk „azjatycki" i płaski, czyli „równikowy". Łuk pierwszego typu był używany w starożytnej Grecji i wyszedł z użycia w Europie, ze zniknięciem kultury starożytnej. Łuku płaskiego do dziś dnia używają plemiona Afryki, Polinezji i Indjanie Ameryki południowej. Cięciwa jego jest prawie tej samej długości, co i drzewce. Dla starożytnych Greków łuk był bronią świętą, sami oni jednak broni tej na wojnie nie używali. Natomiast posługiwały się nią wojska najemne, złożone z barbarzyńców. Legjony rzymskie także nigdy nie walczyły przy pomocy łuków.

Jako broń myśliwska zaczyna mieć łuk coraz większe wzięcie, nietylko u dzikusów. Wytrawni myśliwi uważają bowiem, że daleko większą sztuką jest upolować zwierzę, lub ptaka z łuku, niż z dubeltówki. Zresztą wielu nemrodów woli strzelać z romantycznego łuku, niż ze strzelby, która wszystkim już spowszedniała. Łuk pociąga zaś swoim egzotyzmem. W Polsce w nowszych czasach pierwszym pionierem łucznictwa był minister Patek, który zapalił się do tej broni w czasie swego pobytu w Japonji. Dziś sport ten u nas stoi wysoko, czego dowodem są liczne nagrody, zebrane na zawodach warszawskich. Postawiły one Polskę w rzędzie czterech najlepszych łuczniczych narodów Europy.

K.

CHALLENGE 1932.



Dnia 21. sierpnia b. r. odbył się w Berlinie o godz. 7-ej rano start samolotów, biorących udział w III. Międzynarodowym Rajdzie Turystycznym (Challenge de Tourisme International), którego trasa obejmuje 7.347·72 km. Scherl.

Międzynarodowe zawody samolotów turystycznych urządzono po raz pierwszy w 1928 r. z inicjatywy Francji. Stanęło wtedy do konkursu 25 maszyn, rajd zaś biegł na przestrzeni 2.000 km. Zwyciężył Niemiec Lusser na samolocie „Klemm". W 1929 r. wymagania wzrosły. Lot okrężny obejmował już 6.000 km, do zawodów zapisało się 45 samolotów. Pierwszy miejsce zajął Niemiec Morzik. Rok 1930 przynosi dalsze zaostrzenie warunków. Trasa lotu zostaje przedłużona do 7.500 km. Pierwszą nagrodę zdobywa znowu Morzik. W roku bieżącym europejski lot okrężny obejmuje przestrzeń 7.500 km i prowadzi z Berlina przez dwanaście państw Europy, z czego w Polsce, przez Warszawę i Kraków. W zawodach uczestniczyć mogą tylko samoloty dwumiejscowe. Zawody składają się z trzech zasadniczych części, a to prób technicznych, europejskiego lotu okrężnego i próby maksymalnej szybkości. Podczas całego lotu okrężnego samoloty winny spędzać noce na lotniskach, przez które wytknięta jest trasa. Prawo dokonywania reperacyj ograniczone zostało do minimum i odbywać się one muszą pod nadzorem komisarzy. Zawodników obciążać mogą punkty karne za nieudanie się prób technicznych, za nocowanie poza lotniskiem, za opuszczenie punktów kontrolnych itd. Maksymum punktów dodatnich wynosi 500. Główną nagrodę przechodnią stanowi puhar ufundowany przez Aeroklub francuski. Otrzymuje go Klub, którego zawodnik zajmie pierwsze miejsce, zdobywając w ogólnej klasyfikaiji conajmniej 300 punktów. Następnie jest szereg nagród pieniężnych w wysokości 100.000 fr., 50.000.—, 25.000.—, 13.000.— itd. oraz szereg nagród krajowych, m. i. i polska, dla zespołu o najlepszym wyniku średnim. Organizatorem tegorocznych zawodów jest Aeroklub niemiecki. W zawodach reprezentowanych jest oficjalnie 6 państw, a to Niemcy (16 płatowców), Francja (8 płatowców), Włochy (8), Polska (5), Czechosłowacja (4), Szwajcarja (1).

Po próbach technicznych, które drugie miejsce przyniosły por. Żwirce, który był tylko o dwa punkty gorszy od Włocha płk. Colombo, nastąpił dnia 21. sierpnia o godz. 7-mej rano start z Berlina do Warszawy, a stamtąd do Krakowa. Cały lot zostanie zakończony dnia 28. sierpnia b. r. znowu w Berlinie.

A teraz podzielimy się z P. T. Czytelnikami wrażeniami z przelotu awionetek przez Kraków.

Jest godzina 9-ta rano. Na lotnisku w Czyżynach ruch niebywały. Autobusy, taksówki i pociągi przepełnione są publicznością, która zdąża na lotnisko, aby zobaczyć przelot 50-ciu samolotów turystycznych, biorących udział w międzynarodowym rajdzie. Upał nie do opisania, niebo bez chmurki. Przy stole oznaczonym wielką literą C urzęduje główny komisarz sportowy inż. Aleksander Bobkowski, którego niezmordowanej energji zawdzięczać należy, że na krakowskim

Ciąg dalszy na stronie 10-tej.



Pierwszym etapem lotników była Warszawa. Na zdjęciu punkt kontrolny Z, gdzie ustalano czas przelotu. Ag. Fot. „Światowida".

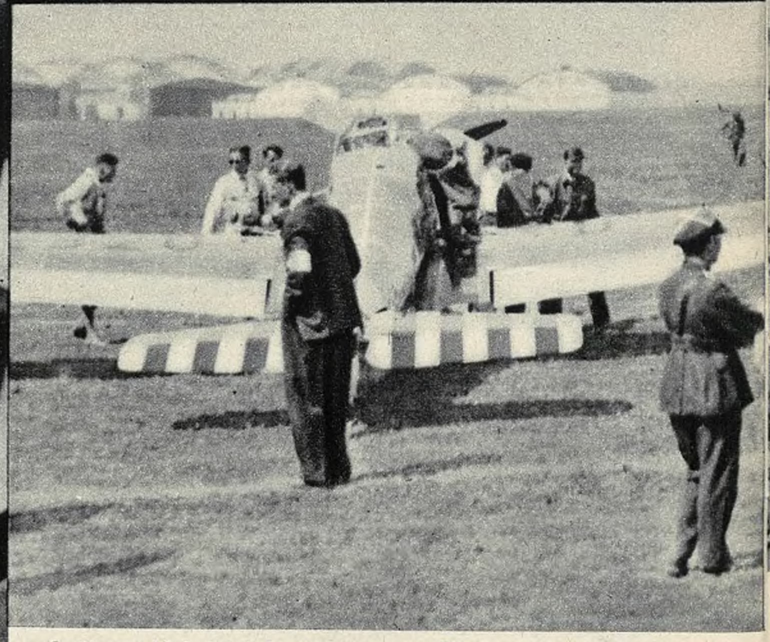


Przepełnione publicznością trybuny na lotnisku w Warszawie. Ag. Fot. „Światowida".

CHALLENGE 1932.


Por. Franciszek Żwirko po przylocie na lotnisko warszawskie, wita się ze swoim synkiem i żoną.


Płk. A. Colombo, pilot-szef zespołu akrobacyjnego królewskiego Aeroklubu Italji. Zwycięzca w „Giro d'Italia 1932“. Przybył pierwszy na lotnisko krakowskie.


Ogólny widok lotniska cywilnego w Czyżynach pod Krakowem, w czasie przelotu samolotów turystycznych.

Ciąg dalszy ze str. 9-tej.

punkcie wszystko dopisało najnajlepiej. W ogólności organizacja była wzorowa. Nie zapomniano nawet o najmniejszych szczegółach.

Około godz. 10-tej na horyzoncie ukazuje się mały punkcik.

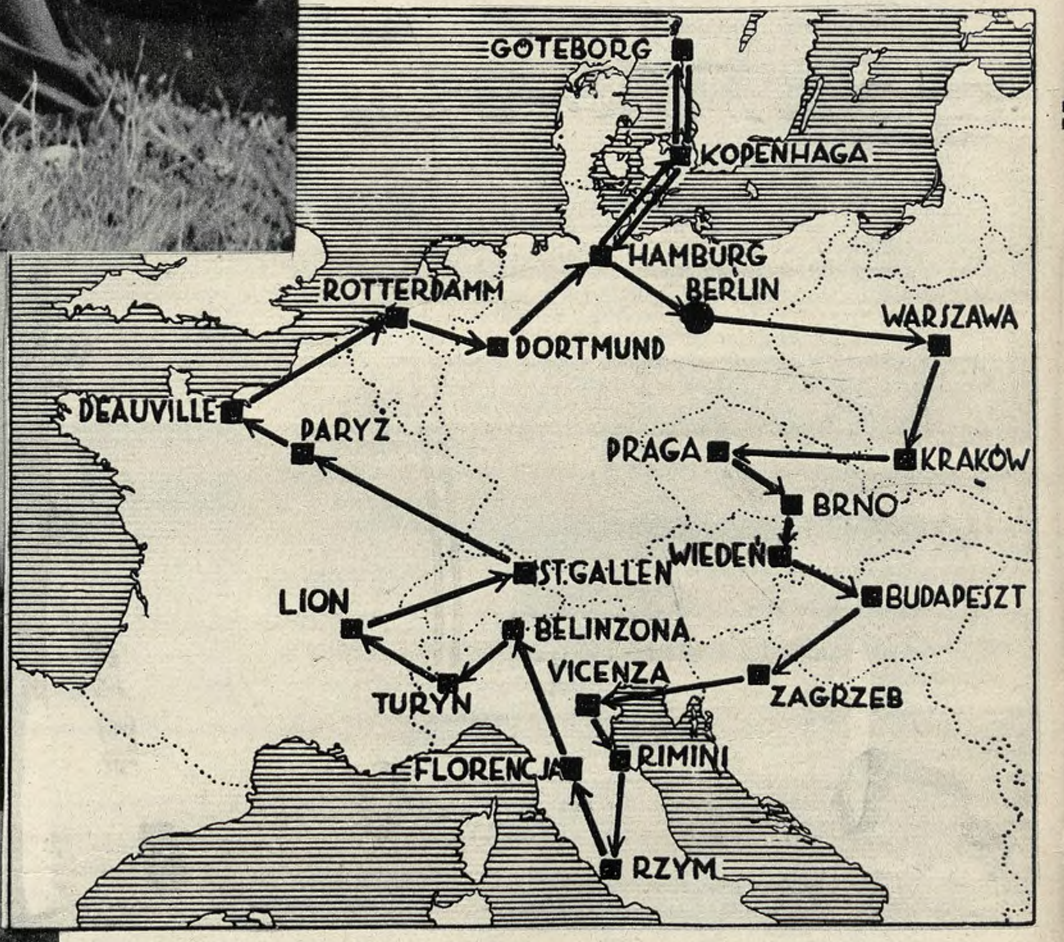
— Leci, leci, — idzie przez tłum.

Punkcik tymczasem rośnie i zbliża się szybko nad lotnisko. Znawcy rozpoznają go w lot. To aparat Włocha płk. Colombo.

— Czy to dobry lotnik? — słychać zapytania.

— Szef królewsko-włoskiej eskadry akrobatycznej, posiada więc jakie takie pojęcie o lataniu.

Płk. Colombo otacza w mig tłum ciekawskich i komisarzy. Nie wdaje on się jednak w żadne rozmowy, ale odebrawszy czas od generalnego chronometrysty dra Macudzińskiego w punkcie Z, prawie bez zatrzymania leci dalej. Zaraz za nim w kilka chwil potem ląduje Niemiec Marienfeld.



Trasa III. międzynarodowego rajdu samolotów turystycznych. Rozpoczyna się ona w Berlinie. Następnym jej etapem są m. in. Warszawa, Kraków, Praga, Wiedeń, Rzym, Paryż, Hamburg, Kopenhaga i Berlin.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA WYKONANE PRZEZ SPECJALNYCH WYSŁANNIKÓW AG. FOT. „ŚWIATOWIDA“.

Padają znowu stereotypowe pytania.

— Będzie pan jadł?

— Nie.

— Będzie pan co pił?

— Nie.

— Potrzebuje pan benzyny?

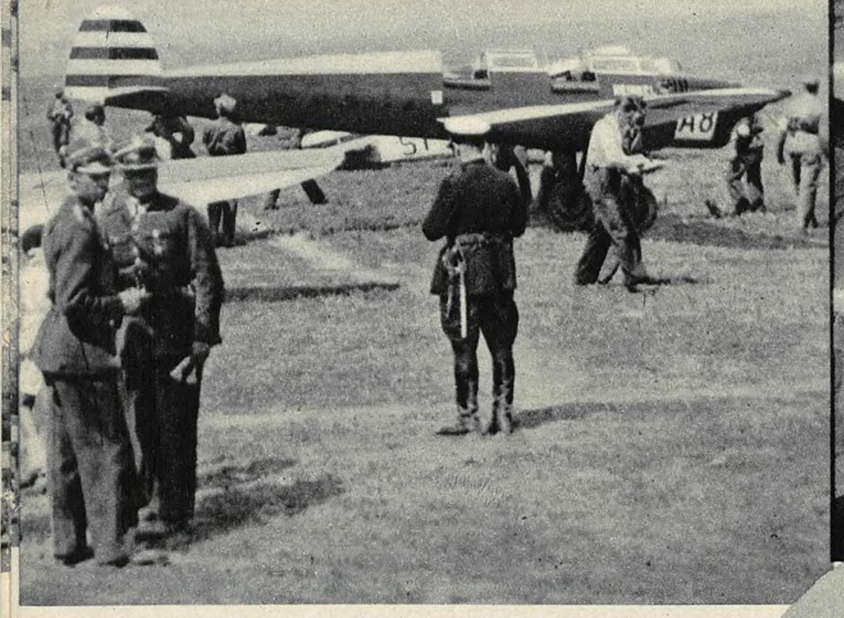
— Nie.

— A może oliwy?

— Nie.

Chcieliśmy mu odpowiedzieć za Guślarzem: „gdy nie chcesz jadła napoju, zostawże nas w spokoju“, ale szum motoru zagłuszył nasze słowa.

Wszyscy bowiem rajdowcy spieszą się. Co ich obchodzą doskonałe kurczęta, przygotowane przez mjr. Michalika, buljon i lody, a także smaczne owoce, podawane w czerwonych torebkach z propagandowym napisem: „Aeroklub Krakowski Challence 1932 etape Cracovie“. To też, gdy zdaje się trzynasty



z rzędu zawodnik oświadczył nareszcie, że z chęcią się czegoś napije, zdumienie obecnych nie miało granic, a ja, wziąwszy go pod ramię, zaprowadziłem do bufetu, gdzie rozrzewniony do łez mjr. Michalik, kazał mu odrazu podać, aż trzy porcje. Wkrótce zresztą potem, zerknąwszy do jednego z samolotów, zrozumiałem dlaczego rajdowcy są tak nieczuli na pokusy mjr. Michalika. Ujrzałem bowiem tam cały rząd najrozmaitszych termosów, tworzących razem najwspanialszą spiżarnię, pełną najwykwintniejszych smaków i chłodników.

Prawdziwy entuzjazm wzbudziło pojawienie się pierwszego polskiego samolotu, na którym wylądował kpt. Gedgowd. Zaraz potem przybywa kpt. Bajan. Jego precyzyjne wiraże wywołują wśród znawców szmer podziwu.

— To jest majster.

Kpt. Bajan narzeka na upał. Za czarną kawę dziękuje.

— Gdzież to pan kapitan zamierza dobić dzisiaj? — zaczynam wywiad.

— Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, — odpowiada


Nadkomisarz Sewiński komendant powiatowy P. P., pełniący służbę na lotnisku w Czyżynach.


Kapitan-pilot Ignacy Giedgowd na lotnisku w Pradze. Do Krakowa przyleciał, jako pierwszy z Polaków.


Tadeusz Karpiński, jeden z najpopularniejszych pilotów polskich linij lotniczych. Przeleciał bez wypadku 620.000 km. Posiada szkołę akrobacji powietrznej.


W. Marienfeld na samolocie Darmstadt D. 22, w rozmowie z zastępcą głównego komisarza sportowego w Krakowie p. dr. T. Spitzerem.


Kapitan Jerzy Bajan (pierwszy po lewej), świetny akrobata lotniczy. Zdobywca pierwszej nagrody w międzynarodowym meetingu w Zagrzebiu 1930 roku, a drugiej w 1932 roku.

dzielny lotnik. — Niestety do Rzymu dnia tego żaden z lotników nie doleciał, nawet płk. Colombo zdołał dotrzeć tylko do Vicenzy.

Około południa jest na lotnisku kilkanaście maszyn. Huk silników miesza się z rozgwarem ludzkim. Całą tę wrzawę starają się przekrzyczeć potężne megafony Polskiego Radja. Co chwilę ktoś wzbija się w powietrze i szybuje na zachód. Nadciągają ostatni maruderzy. Ci przedewszystkiem pytają o bufet i lemonjadę. Wielką sensację budzi jeden z samolotów ze zdefektowanem skrzydłem. Widnieje na niem otwór o średnicy 15 cm, cały zabryzgany krwią i piórami.

— Cóż się to stało?

— Ano aparat nabił się na jakiegoś ptaka. Rezultat przedziurawione płótno...

O godz. 1-ej lotnisko pustoszeje. Przelot przez Kraków skończony. Publiczność odchodzi do domu. A tymczasem stalowe ptaki rajdowców lecą w niewstrzymanym pędzie po Europie, aby zdobyć pierwszą nagrodę dla swoich barw.

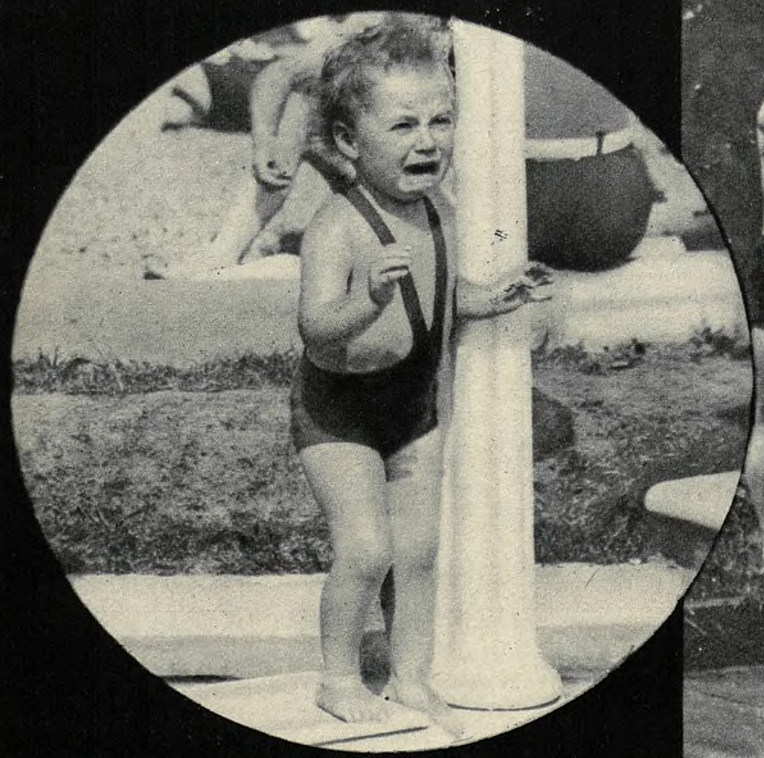
Patrząc na tych ludzi, wyczuwa się, że jest to pokolenie przyszłości tak inne od tego dawniejszego, które jeszcze podróż autem, czy koleją uważa za szaleńczy wyczyn i woli jeździć fjakrem lub bryczką, oczywiście zaprzężoną w stare, dychawiczne konie. Dla tego nowego pokolenia Bajanów, Morzików i Colombów powietrze jest przestworzem, z którem się zżyli. Pierś ich rozpiera bohaterstwo. Z poszumem skrzydeł swych aparatów zdają się oni iść ku tej promiennej przyszłości, która zmieni oblicze świata i wyrwie człowieka z oków ziemskich, poprzez mroźne szlaki stratosfery, na inne planety.

J. L.


Inż. Aleksander Bobkowski, główny komisarz sportowy na lotnisku w Krakowie, niezmordowany organizator zawodów. Obok niego dr. Tadeusz Spitzer, zastępca komisarza.

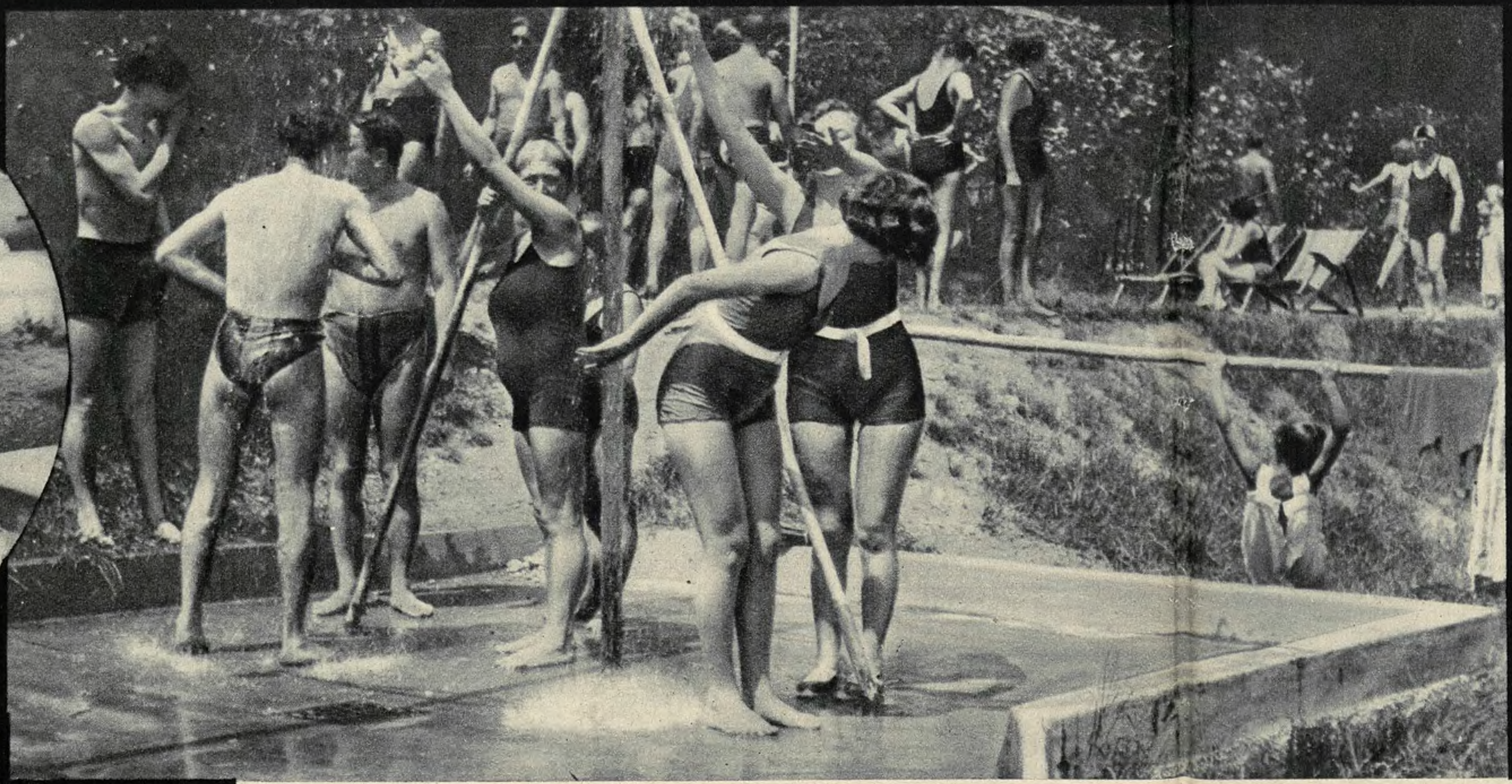

Tłumy publiczności, śledzące przebieg raidu w Krakowie.

ZIMNY TUSZ NA ROZMARZONE GŁÓWKI.



Mały Jacuś zgubił na plaży mamę i płacze z tego powodu rozpaczliwie.

Keystone — London.



„Odważne panie“ w oczekiwaniu zimnego natrysku. *Photo Madensky — Wien.*



Ach, jak to przyjemnie!

Photo Madensky — Wien.

„Minęły dni rozkoszne z Aranjuez pobytu.
Królewicz nie wesoły — wraca do Madrytu“...

Wyśnione w długich tygodniach i miesiącach projektów i przygotowań piękne dni wakacyjnego „w Aranjuez pobytu“ mają się już ku końcowi.

Niejeden „królewicz“ (nie we własnem tylko mniemaniu, ale— co więcej może przedstawiać realnego... interesu — w pojęciu dziewiczych Artemid dnia dzisiejszego, polujących, w braku innej zwierzyny w wielkoświatowych kniejach — na męża), pakuje już pośpiesznie na wszelkiego gatunku mniej, lub więcej „jasnych brzegach“ swoje kufry, czy tylko skromne walizeczki i oblicza „remanenty“ w portmonetce, czy aby tylko starczy ich jeszcze na... bilet powrotny do domowych pieleszy...

A że w dzisiejszych czasach, pieczętujących się faską bryndzy wulgarnej, zamiast mitr książęcych — łatwiej o Chaimka Kohna, niż o... Don Carlosa — więc też dzisiejszych dni „królewicze“ zamiast karetą poszóstną ruszać do... „Madrytu“ najbliższą i najtańszą trasą wybierają się 3 klasą do Czortkowa, Kulikowa, czy na Kazimierz...

Jak piękne jednak było to marzenie, które rozpłynie się już za parę dni nieodwołalnie w szarzyźnie dnia powakacyjnego i... finansowej rzeczywistości!

Ostatnie to już sceny bajkowego „Snu nocy letniej“, po którym na głos polskiego policjanta, kontrolującego paszporty w Zebrzydowicach, czy innym Zbąszyniu — z całej letniej feerji mniej lub więcej Szekspirowskiej (zależy to od zdolności reżysera) pozostanie co najwyżej trochę... rzeczywistych oślich główek, nie związanych już ze zniknięciem cudotwórczych sił, umożliwiających zagranicą odgrywanie we wakacyjnych wywczasach komedji urojonej arystokracji... A każdy bodaj wymieniany w komunikatach wiedeńskich hoteli: „Freiherr von Ogóry Ogórkiewicz“, czy z tablic „jasnobrzeskich“ hoteli: „comte de Świnioboy-Świnioboyski“ — stanie się znów tylko pospolitym snobistycznym Ogórkiewiczem, choć z szacownej mieszczańskiej rodziny, czy Świniobójem z Dębnik.

O ile jednak macie choć ździebełko nikłe tak rzadkiego w naszych czasach ludzkiego współczucia i delikatności, nie chciejcie spoglądać na tej stacji na oblicza wracających tym samym pociągiem i... w tym samym przedziale najmilejszych córeczek papy Kopciuszka, wystrojonych jeszcze w swe wakacyjno-balowe pantofelki... i wpatrzonych w swego... nie koniecznie już „królewicza“ (w „ciężkich“ czasach można nieco opuścić z „tonu“!), ale w... barona, czy hrabiego!...

Nie zawsze atoli w tej wakacyjnej feerji złudzeń trzeba dopiero czekać takiego „ostatecznego dnia“ i „chwili osobliwej“... Rzeczywistość bowiem goni człowieka nawet wówczas, gdy za z trudem pożyczone pieniądze wyjedzie do krajowego „badu“. Uciec od tej rzeczywistości trudniej, niż wydać się to może temu, czy owemu wyćwiczonemu już praktykowi w „rozmowach“ z urzędnikiem kancelarji notarjalnej, prezentującym niewykupione w terminie weksle, czy z różnego rodzaju i pokroju „komornikami“ wszystkich gatunków naszego dzielnicowego ustawodawstwa.

Nic to, że weksle, pokrywające wasz wyjazd ma „rozkosze wakacyjne“ — płatne są „dopiero“ w jesieni. A dawniejsze — „poczciwy“ Shyllok za nowy stuzłotowy weksel zgodził się „uczynnie“ przełożyć także na... jesień! Bo od widoku komornika, lub czegoś w jego pokroju — uciec dziś nie sposób!

— Powiada pan (czy: pani), że chce mieć te parę tygodni spokoju? Wolne żarty! Czy ja pana (panią) niepokoję? Ja chcę tylko mieć moje pieniądze od właściciela willi... Ja jestem „zarządca przymusowy“!

Podróżnik w wakacyjne marzenie o błogim spokoju i niezmierzonej rozkoszy wypoczynku — o ile bawi na wybrzeżu — z najdalszego pomostu skoczy w najgłębszy nurt naszego Bałtyku. Dobrze to robi: ochładza z fantastycznych złudzeń i przywołuje do... powakacyjnej rzeczywistości...

Gdzie niema morza, choć są może... bałwany — przynajmniej: główkę pod kran... a skutek niezawodny.

Jest jednakże pociecha i realny zysk: słońca i przeżyć rozkosznych dni wakacyjnego wypoczynku nie zdoła już ani oszacować, ani wyegzekwować szarą jesienią żaden egzekutor!...

Jan Chełmirski.



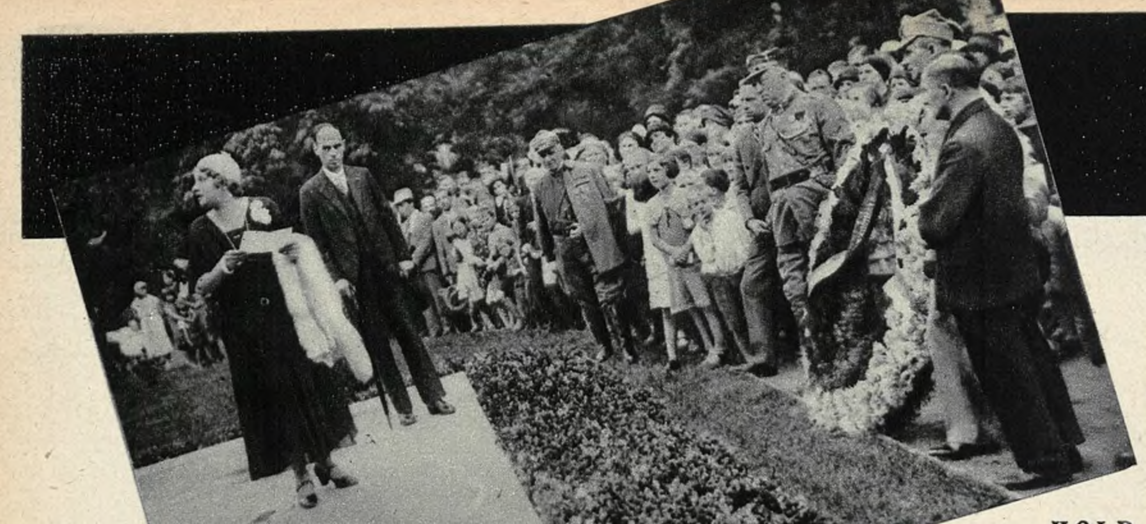
Śmiejące się gracje.



Zimny tusz jest prawdziwą rozkoszą w dni upalne.

Photo Madensky — Wien.

Z TYGODNIA.



HOŁD WILSONOWI. Dnia 18 sierpnia złożyła wieniec pod pomnikiem prezydenta Wilsona w Poznaniu kierowniczka działu politycznego Klubu demokratycznego w Nowym Jorku p. Józefa Babińska (na zdjęciu), wygłaszając przy tej sposobności okolicznościowe przemówienie do licznie zebranej młodzieży i dzieci.

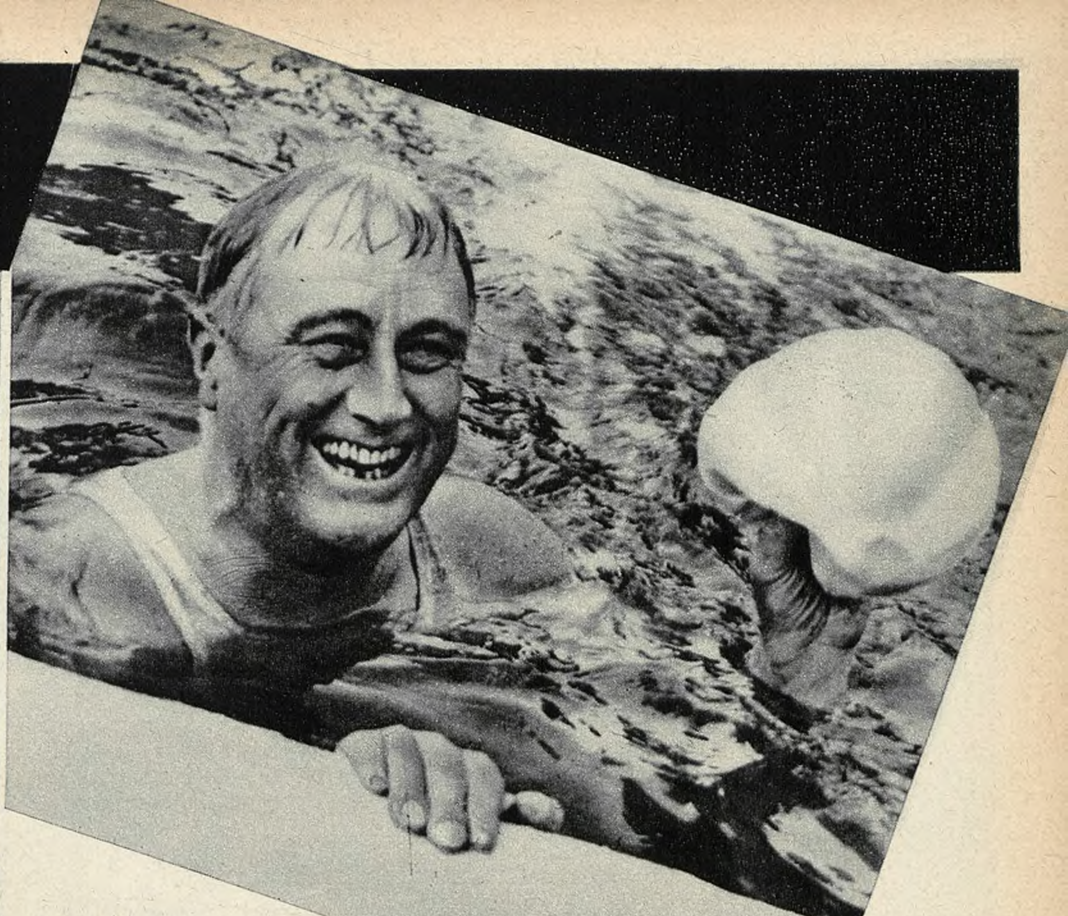
Ag. fot. „Światowida".





ŻNIWA W ROSJI. Żniwa tegoroczne w Rosji nie dadzą ani 60% produkcji przedwojennej, pomimo, że gospodarka w Kołchozach jest prowadzona bardzo intensywnie. Na porządku dziennym są masowe kradzieże zboża przez chłopów, oraz pracowników kolektywów, którzy wyznaczają sobie samowolnie stawki żywnościowe, przewyższające wielokrotnie ustalone normy. — Szczególnie opieszale idą żniwa w północnym Kaukazie. Zdjęcie przedstawia robotników z 12-tej brygady traktorów. Brygada ta objeżdża kolejno poszczególne Kołchozy, przenosząc się codziennie z miejsca na miejsce.

Unionbild — Berlin.



CHCĄ PIĆ. Najważniejszym problemem Stanów Zjedn. Ameryki Północnej obok kryzysu jest prohibicja. Bankructwo tej idei jest obecnie zupełne. Dlatego nawet zdeklarowany jej zwolennik prezydent Hoover zaczyna przebąkiwać o potrzebie częściowej zmiany tej nieszczęśliwej ustawy, która sprowadziła tyle zła na Amerykę. Natomiast za zupełnem zniesieniem prohibicji jest jego kontrkandydat gubernator Roosevelt, wybitny przyjaciel Polaków. Na zdjęciu widzimy go zażywającego kąpieli, jakby na dowód, że „mokry" prezydent lubi mokry żywioł pod każdą postacią.

The New York Times.



ZGON KS. STANISŁAWA LUBOMIRSKIEGO. Dnia 16 sierpnia b. r. zmarł w Karlsbadzie ś. p. Stanisław ks. Lubomirski, długoletni prezes Rady Banku Handlowego, prezes Centr. Związku Przem. Polsk., prezes Związku Banków Polskich, prezes Rady Giełdy Pieniężnej w Warszawie i zasłużony działacz społeczny.

Ag. fot. „Światowida".



WARSZAWA-WILNO-RYGA-TALLIN. Dnia 17 sierpnia b. r. w Warszawie w obecności p. Prezydenta Rzplitej została otwarta nowa linja lotnicza, łącząca Warszawę z Wilnem, Rygą i Tallinem. Linja ta będzie obsługiwana przez samoloty polskie i przez polskich pilotów. Na zdjęciu p. Prezydent Rzplitej (czwarty od lewej) w towarzystwie p. premjera Prystora (obok, po lewej), p. marsz. senatu Raczkiewicza (po prawej), min. Kühna (pierwszy od lewej) i dyrektora „LOT-u" inż. Makowskiego (obok), przypatruje się odlotowi pierwszego samolotu z Warszawy do Tallina.

Ag. fot. „Światowida".



ROZRUCHY KOMUNISTYCZNE W MADRYCIE. Stosunki w Hiszpanji od czasu ostatniego przewrotu, który przyniósł kres monarchji, są dalekie do uporządkowania. — Kraj ten rozsadzają dążności separatystyczne Katolończyków i Basków, a także walki polityczno-społeczne. Po świeżo stłumionym zamachu monarchistycznym miały miejsce w ostatnich dniach także rozruchy komunistyczne, które policji z trudem udało się opanować. — Zdjęcie przedstawia policjantów madryckich, podczas pościgu za uciekającymi w popłochu komunistami.

Keystone — Berlin.

NASI ZAGRANICĄ.

Wrażenia z wycieczki statkiem „Kościuszko".

Na lądzie, w sierpniu.

Kiedy załadowano w dniu 23 lipca b. r. 563 pasażerów na S. S. „Kościuszkę", mieliśmy do czynienia z 563-ma szczurami lądowemi. Przynajmniej w 90%, niech tylko 10% przyzwyczajonych do morza i jego przyjemności wybaczy mi to uogólnienie.

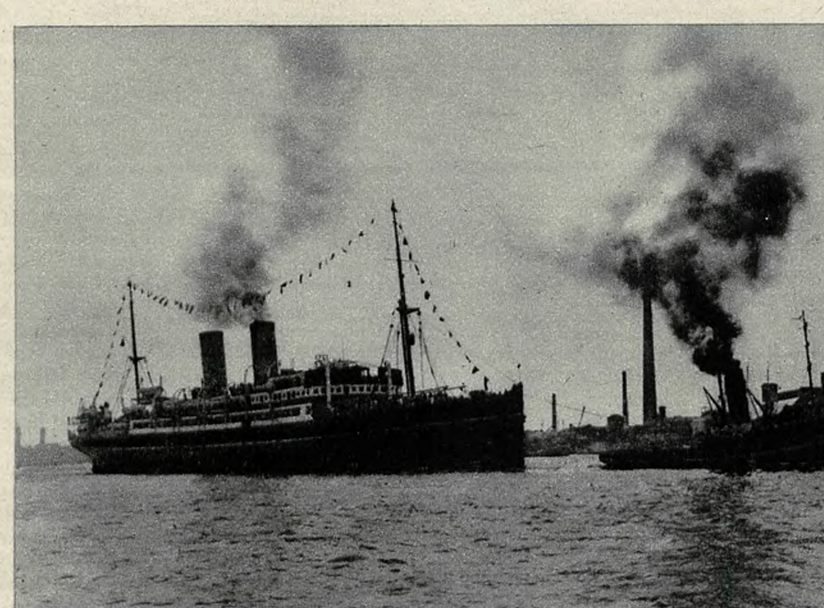
Kiedy zaś 11 sierpnia w południe wypuszczono na ląd tą samą ilość pasażerów, każdyby pomyślał, że ma do czynienia conajmniej z zawodowymi marynarzami. Jak to rzucało dookoła siebie wyrażeniami „rufa" i „szpic", zapomniało wogóle, że istnieje słowo „wiatr", a mówiło tylko bryza i sztorm, opowiadało sobie, że pociąg „przybija" do Warszawy i wskutek natłoku pasażerów będzie „holowany" przez drugą maszynę — to aż serce pękało z radości, jakim w gruncie rzeczy narodem żeglarzy są ci Polacy, chociażby z pod Zakopanego. Same wilki morskie!

Trzytygodniowa wycieczka do Belgji, Anglji i Holandji, miała dla wielu uczestników w sobie coś z romantycznej wyprawy Argonautów po „złote runo". Niewątpliwie jedną z największych atrakcji wycieczki była „dyspensa" od paszportów i to nawet ulgowych! Trzy tygodnie zagranicą bez paszportów! To było właściwą i najlepszą reklamą, propagandą, która sama za siebie mówi.

Wielu pasażerów traktowało samą podróż morską, jako malum necesarium, smutną konieczność. Obliczali w duchu, że tylko dwa dni tam i dwa dni z powrotem na pełnem morzu, więc nawet ryzyko morskiej choroby bez przerwy — nie było zbyt wielkie. Belgja, Holandja i Anglja bez świadectwa „moralności" — ta gra warta była świeczki.

Jak na złość morze było spokojne. Rozczarowanie wielkie. Znalazła się jednak spora grupka takich, którzy na złość „mamie" postanowili zademonstrować, że choroba morska nie jest nawet niemożliwością przy spokojnem morzu.

Ostatecznie po dwóch dniach gorączkowego oczekiwania na lekką burzę — żeby mieć trochę emocji — (prawdziwej sobie nikt nie życzył, bo nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie, a umieszczone w kabinach



Statek „Kościuszko" opuszcza port londyński. *Jakimowicz, Londyn.*

przepisy na wypadek alarmu wraz z pasami ratunkowemi, który każdy miał nad swojem łóżkiem, niejednemu psuły spokojny sen na morzu) — dostaliśmy się do portu w Zeebrugge. Stamtąd zaczęło się zwiedzanie Belgji i psucie... naszego bilansu płatniczego. Zależnie od usposobienia towarzystwa i zamiłowań zwiedzano kraj Belgów pojedyńczo, czy też wycieczkami zbiorowemi. Och, te wycieczki zbiorowe! Ile one ludziom krwi napsuły. Bo proszę sobie wyobrazić — zawsze zgórą 300 osób brało udział w takiej ekspedycji, która czasami była łudząco podobna do „najazdu" Polaków na jakieś obce miasto. Trzysta osób i każda miała inną pretensję. Temu autobus był za szeroki, tamtemu za wąski. Jednemu wiało z prawej strony, drugiemu z lewej, ten chciał jechać do Brukseli, a tamten właśnie akuratnie wtedy chciał jeszcze zostać na plaży. Nie bez tego, że obiady były srogo krytykowane! (Ciekaw jestem, czy tak w domu wszyscy grymaszą i tak im wszystko nie smakuje. Zwykła kaszka hreczana, podana z odpowiednim pomrukiem przez P. T. perłę domową jest jednak większym przysmakiem niż nawet... dobry homar belgijski. Czego nie potrafi zdziałać patrjotyzm lokalny i... piekielny strach przed złym humorem pani domu i... kucharki).

Pomimo tych krytyk, przy następnej wycieczce znalazła się znowu zawsze prawie że ta sama liczba. Wieczorem obraz niezmienny. Byli niezadowoleni, a na trzeci dzień wsiadali do autobusu. Jeżeli już nie było żadnego innego powodu do krytykowania, to przynajmniej czuli się wszyscy zmęczeni i oświadczali, że to nie żaden odpoczynek i żadna przyjemność, że to dzikie gonienie Bogu ducha winnych ludzi po miastach belgijskich.

Ci, którzy nigdy humoru nie tracą, nazwali nawet wycieczki „przymusowemi ćwiczeniami przysposobienia kulturalnego" i pozwalali sobie na dowcipy w związku z trochę wojskowym rygorem, panującym na „Kościuszce" (jak na każdym innym statku). Zwłaszcza ten djabelski gong, który wszystkich budził o 6-ej rano (dla uspokojenia przyszłych wycieczkowiczów, tylko budził, można było nie wstawać i dalej spać), cieszył się ogromną popularnością, ale wtedy, gdy wzywał na śniadanie, czy też obiad.

Specjalna „ciepła wzmianka" należy się muzyce. Grano bez przerwy — była i orkiestra i gramofon, który przez rozgłośniki docierał do najodleglejszego kątka naszego dwukominowca.

Żadnej rady na to nie było, by się uwolnić od słuchania muzyki. Jak zaczęli grać o 7-mej rano, kończyli szczęśliwie około 10-tej wieczorem. Szczególnie muzykalni pasażerowie urządzali poza tem prywatne koncerty z płyt gramofonowych na szmuglowanych z Belgji i Anglji gramofonach. Żeby gramofon był zużyty.

Orkiestra marynarki wojennej reprezentowała raczej „muzykę poważną": od Wagnera poprzez Gounoda do I-szej Brygady. Lekka muza muzyczna demonstrowana była zapomocą płyt gramofonowych, których olbrzymi zapas posiadany przez stację naszego statku wprawił mnie w zachwyt i zdumienie.

Słuchanie „repertuaru poważnego", zwłaszcza podczas posiłków, było jednym z punktów programu przysposobienia kulturalnego. Szkoda, że nie było nigdy porządnego huku fal. Możnaby było urządzić konkurs, kto potrafi głośniej, nasza muzyka, czy morze.

Maruderzy — można ich wszędzie znaleźć — którzy wymigiwali się od ćwiczeń przysposobienia kulturalnego, zaludniali wszystkie plaże po prawej i lewej stronie od Zeebrugge, opalając się zupełnie w identyczny sposób, jak na plażach wiślanych. Słońce to samo, tylko nie takie intensywne, a woda też była, tylko że słona. Na Helu można mieć to samo. Zwiedzano też z największą namiętnością kasyna w Knocke (imponujący nowoczesny gmach), w Blankenberghe i Ostendzie, próbując „najlepszych systemów" walki z ruletką. Ostatecznie po takim wieczorze każdy pocieszał się tem, że mniej przegrał od drugiego. O jednej wygranej słyszałem. Ktoś tam wygrał 17 tysięcy franków, które telegraficznie przekazał do swego krajowego banku.

Ten człowiek mi się podobał. Ostrożny, przewidujący, by nie przegrać na nowo.. Na drugi dzień mówiono, że zażądał telegraficznie przekazania mu z kraju z powrotem sumy 20.000 franków. Przegrał. Mówiłem, nie powinien był dalej grać, byłby miał na czysto 17.000 fr., a tak wzbogacił jakieś tam kasyno o 3.000 fr.

Magazyny belgijskie odczuły dodatnio przybycie wycieczki 600 Polaków. Bo Polak zagranicą z konieczności rzeczy musi kupować. Byleby było tanio.

Rekord zakupów nie odbył się jednak w Belgji, lecz w Londynie. Co się tam działo w ostatnie przedpołudnie pobytu — o tem się największym filozofom nie śniło. Słynna Regent Street była poprostu warszawskim Nowym Światem. Nie można się było ruszyć, żeby w jakimkolwiek sklepie nie nadeptać na kilku przynajmniej Polaków, którzy kupowali. Ponieważ większość nie uznawała szlachetnego języka Anglosasów, transakcje kupna sprzedaży odbywały się w jakimś nieopisanym Volapücku. Rzeczowniki po francusku, czasowniki po niemiecku, podmiot po polsku, orzeczenie — wymowny gest. I Anglicy rozumieli. Ręczę za to, gdyby tak co roku więcej wycieczek polskich „nawiedzało" Londyn, toby nawet w większych sklepach pojawiły się tabliczki z napisem: „tu mówi się po polsku". Dobrze tak tym Anglikom! Oni myślą, że tylko im wolno nie uczyć się żadnego innego języka poza angielskim. I podróżują i kupują i ludzie ich rozumieją. A czem my jesteśmy gorsi od Anglików? Byliśmy w Londy-



Pierwszy oficer okrętu „Kościuszko", p. kpt. Maciejewski. *Jakimowicz Londyn*

nie, nie umieliśmy po angielsku i jakoś tam poszło.

Kiedy „nasi" wracali na okręt ciężko objuczeni i rozpoczęła się droga powrotna — (Holandja była tylko epizodem przecierpianym dlatego, że program przewidywał zwiedzenie tego kraju) — od szpicu do rufy „Kościuszki" toczyły się dyskusje na temat kunsztu szmuglerskiego: „Jak ja to przewiozę, a on tamto, co mi skonfiskują, a za co będę musiał płacić cło?"

Z drżeniem serca witano ukochaną ziemię ojczystą w Gdyni. Widok celników w zielonych mundurach wywołał u niektórych nowicjuszy w kunszcie szmuglerskim objawy gwałtownie podobne do słynnej morskiej choroby. A to było już na lądzie! Rewizja poszła nadspodziewanie i gładko i składnie. Właściwie ocalono wszystko. Jedna pani na zapytanie co ma nowego, oświadczyła z dumą w głosie: nic, same stare rzeczy! Podziwiałem ją, talent aktorski pierwszorzędny. Wszak wiedziałem pozytywnie, co wiezie ze sobą.

A celnik? Uśmiechnął się dobrotliwie i zapytał ową panią: to niech mi pani powie, poco pani jechała zagranicę?

Słuszna ta uwaga strażnika naszego czynnego bilansu handlowego, skonfudowaną miłą pasażerkę o wiele więcej, niż najściślejsza rewizja.

I w Gdyni obserwowałem to samo zjawisko, co poprzednio zagranicą. Najazd „Kościuszków" na Gdynię. Ostatnia wycieczka lądowa! Wszędzie ich pełno, a najwięcej w pociągach wieczornych. Miejsca nie można było znaleźć. Wtedy był największy płacz i zgrzytanie zębów — bo tym razem już nikt nie mógł wygadywać na organizację wycieczek lądowych.

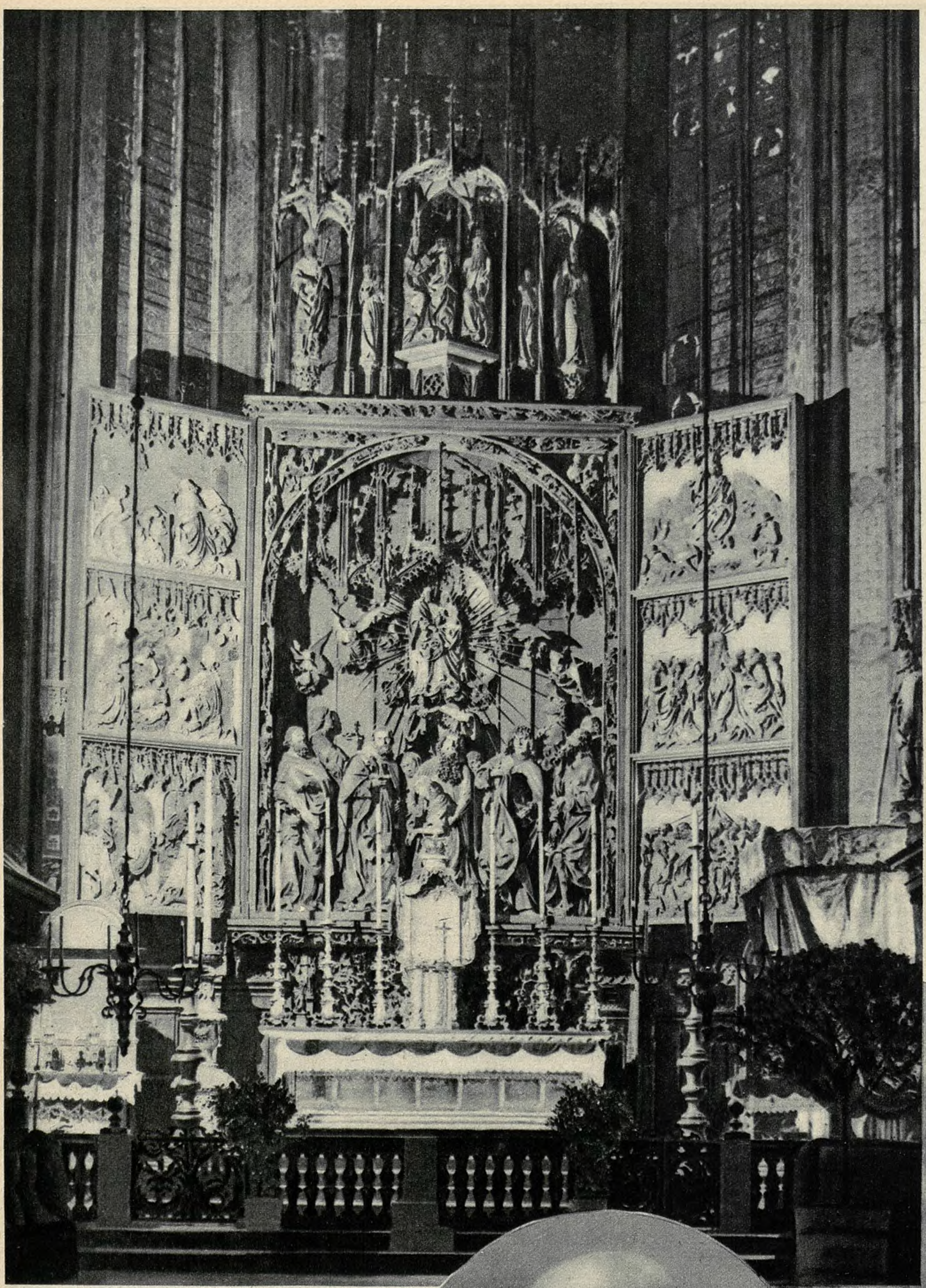
Dzisiaj tu i ówdzie spotykam któregoś z towarzyszy podróży. Rzecz zabawna — najwięksi malkontenci, którzy na okręcie i zagranicą byli chodzącą poprostu krytyką — mówią, że o wszystkich przykrościach zapomnieli, a pamiętają tylko miłe chwile spędzone w ciągu ostatnich trzech tygodni. Tylko zmęczeni jesteśmy. Boże, jak strasznie zmęczeni — trzeba będzie gdzieś pojechać... na urlop wypoczynkowy.

Refren ten kończy się stereotypowem zdaniem, że na drugi rok, to mimo wszystkio wybiorę się na taką wycieczkę. Zwłaszcza zapowiedziana wycieczka na wyspy Kanaryjskie i Maderę — działa jak magnes na b. pasażerów „Kościuszki". Nigdy nie myślałem, że „miarodajna wyspa" posiada taką siłę atrakcyjną.

Ja tam też chętnie pojechałbym. Na „Kościuszce" z kapitanem Borkowskim...

Kl. Kęplicz.

RESTAURACJA OŁTARZA MARJACKIEGO WITA STWOSZA W KRAKOWIE.



Ogólny widok zamkniętego ołtarza głównego w kościele Marjackim w Krakowie. Jest to dzieło naszego rodaka Wita Stwosza. Urodził się on w Krakowie i tu wykonał pierwsze swoje arcydzieła, przedewszystkiem Ogrojec, Krucyfiks z kościoła Marjackiego i ołtarz Marjacki. Nad ołtarzem tym pracował Stwosz od r. 1477 do 1479 r., poczem przeniósł się do Norymbergji i przyjął tamtejsze obywatelstwo. Ołtarz ten, stanowiący największe arcydzieło rzeźbiarskie na ziemiach polskich, jest obecnie restaurowany.
(J. L.)

Wysokie rusztowanie zasłania od kilku tygodni wielki ołtarz w kościele Marjackim w Krakowie. Z żalem cdchodzą liczne gromadki zwiedzających zabytki miasta, nie mogąc zobaczyć owego przepysznego dzieła, które dłuto wielkiego Wita Stwosza uczyniło jednym z najwspanialszych zabytków średniowiecznej rzeźby.

Roboty konserwacyjne, rozpoczęte z inicjatywy niestrudzonegc odnowiciela Marjackiej świątyni, ks. infułata Józefa Kulinowskiego, potrwają czas dłuższy. Początkowo bowiem miano zamiar wykonać tylko nowe okucia u olbrzymich skrzydeł ruchomych, które się wskutek ciężaru nachyliły i trudne były do zamknięcia, dalej miano przerobić odpowiednio zawiasy i opatrzyć skrzydła w czopy na kulkowych łożyskach; ponadto postanowiono odczyścić ołtarz z kurzu i brudu. Tymczasem prcwadzący pod nadzorem komitetu artystycznego roboty nad odczyszczeniem płaskorzeźb artysta-malarz Juljan Makarewicz, po zmyciu brudu i usunięciu ciemnej warstwy pokostu, oraz częściowo olejnych przemalowań w kilku miejscach, doszedł do pierwotnej pclichromji, o barwach jasnych i żywych, wykonanej temperą. W partjach krajobrazowych, tworzących tła dla scen figuralnych, wyszły z pod ciemnych przemalowań zielone łąki i wzgórza, pokryte świeżą roślinnością. Na jednem z górnych pól ołtarza ukazał się minjaturowo przez średnicwiecznego malarza wykonany orszak konnych rycerzy, dostrzegalny zaledwie z odległości dwóch kroków!

Komitet stanął wobec niezwykle poważnego i trudnego zadania i po szczegółowych debatach pcstanowił, aby z największą ostrożnością choć w części naprawić to, co „odnowy" lub niedość umiejętne restauracje ubiegłych wieków popsuły w zakresie polichromji ołtarza. Pozłota i rzeźby pozostaną nietknięte.

Fakt restauracji największego dzieła Wita Stwosza zwróci niewątpliwie uwagę całego kulturalnego społeczeństwa polskiego i przypomni mu genjalną postać Mistrza, którego czterechsetną rocznicę zgonu obchodzić będziemy w roku przyszłym.

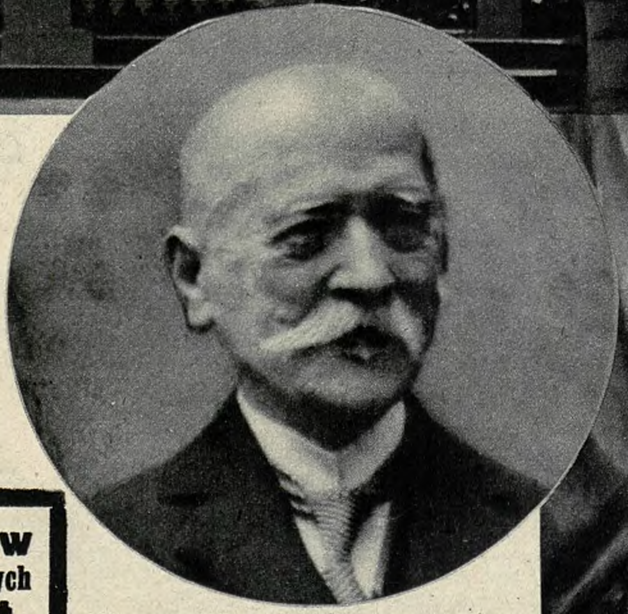
Ołtarz Marjacki wykonany został w Krakowie w latach 1477 — 1489. W szafie głównej zawiera scenę Zaśnięcia oraz Wniebowzięcia Matki Boskiej. Na ruchomych i stałych skrzydłach widać ośmnaście płaskorzeźb ze scenami z życia Chrystusa i N. P. Marji. Na szczycie stci grupa Koronacji Matki Bożej, oraz posągi św. Stanisława i Wojciecha. W predelli ołtarza zwraca uwagę „Drzewo Jessego". — Wykonany w całości z drzewa, przenosi zabytek nasz swemi rozmiarami wszystko, co w zakresie sztuki ołtarzowej zostawiły nam wieki średnie. Bcgactwo szczegółów, delikatne koronki gotyckiego listowia, baldachimy, dalej owe fałdziste, niespokojne i wzburzone draperje, których modelunek tak bardzo Stwosza charakteryzuje, gra błysków pozłoty, świateł i cieni, przy całym naturaliźmie przepysznych głów — wszystko to razem składa się na istotę t. zw. baroku gctyckiego, który w dziele tem znalazł swój najpotężniejszy w dziedzinie plastyki wyraz.

Ołtarz był restaurowany już w wieku XVII. W wieku XVIII miał być usunięty z kościoła i tylko szczęśliwym trafem uniknął zniszczenia. W latach 1867 — 71 dokonano ostatniej jego gruntownej restauracji, kiedy to został w całości rczebrany. Wówczas uzupełniono uszkodzenia rzeźb, pozłotę w znacznej części dano na nowo, a polichromję nieumiejętnie w wielu miejscach przemalowano. Zadaniem cbecnej restauracji jest, oprócz wspomnianych robót ślusarskich, utrwalenie nadwyrężonej struktury poszczególnych części, odczyszczenie pozłoty i — o ile to będzie możliwe bez szkody dla zabytku — usunięcie przemalowań późniejszych.

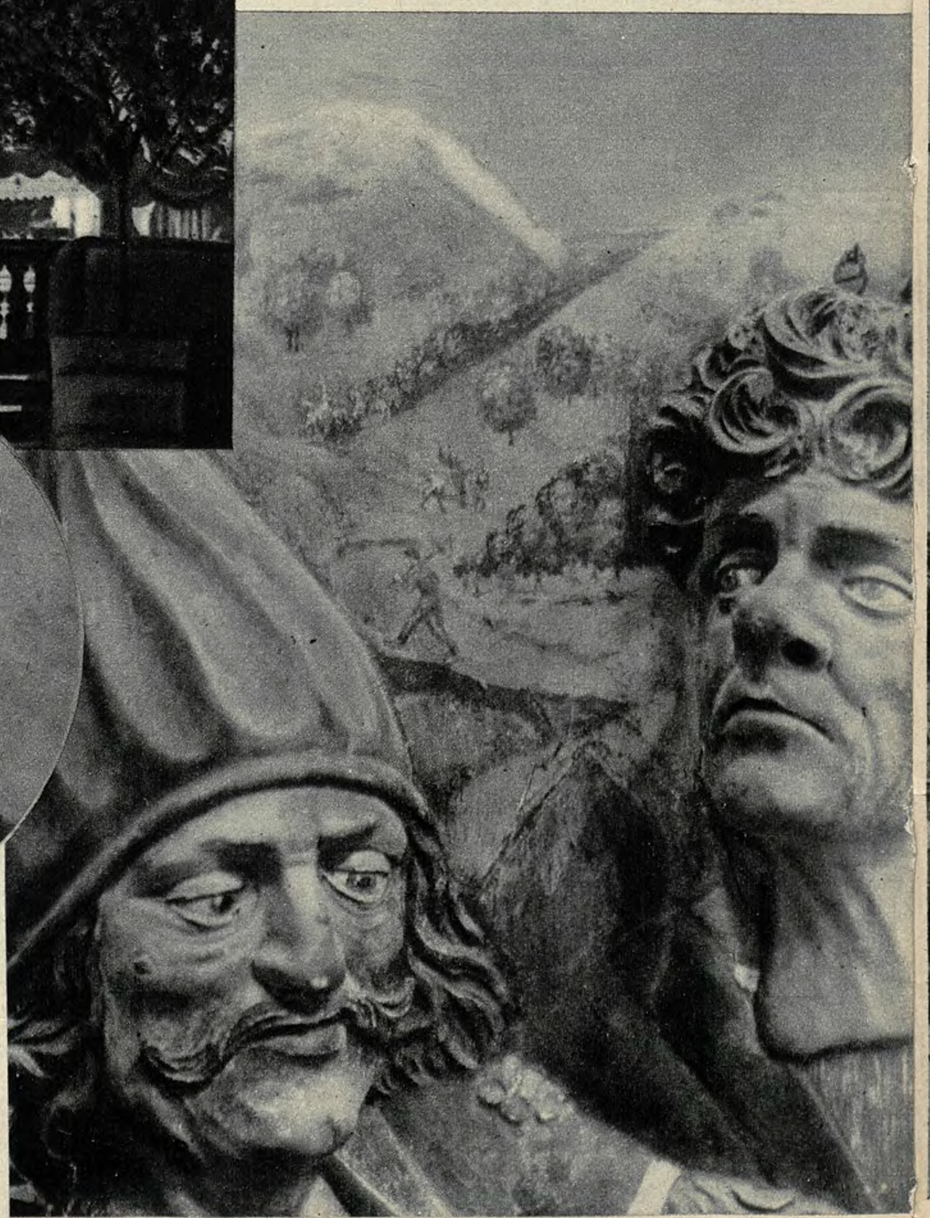
Dr. Zbigniew Bocheński.



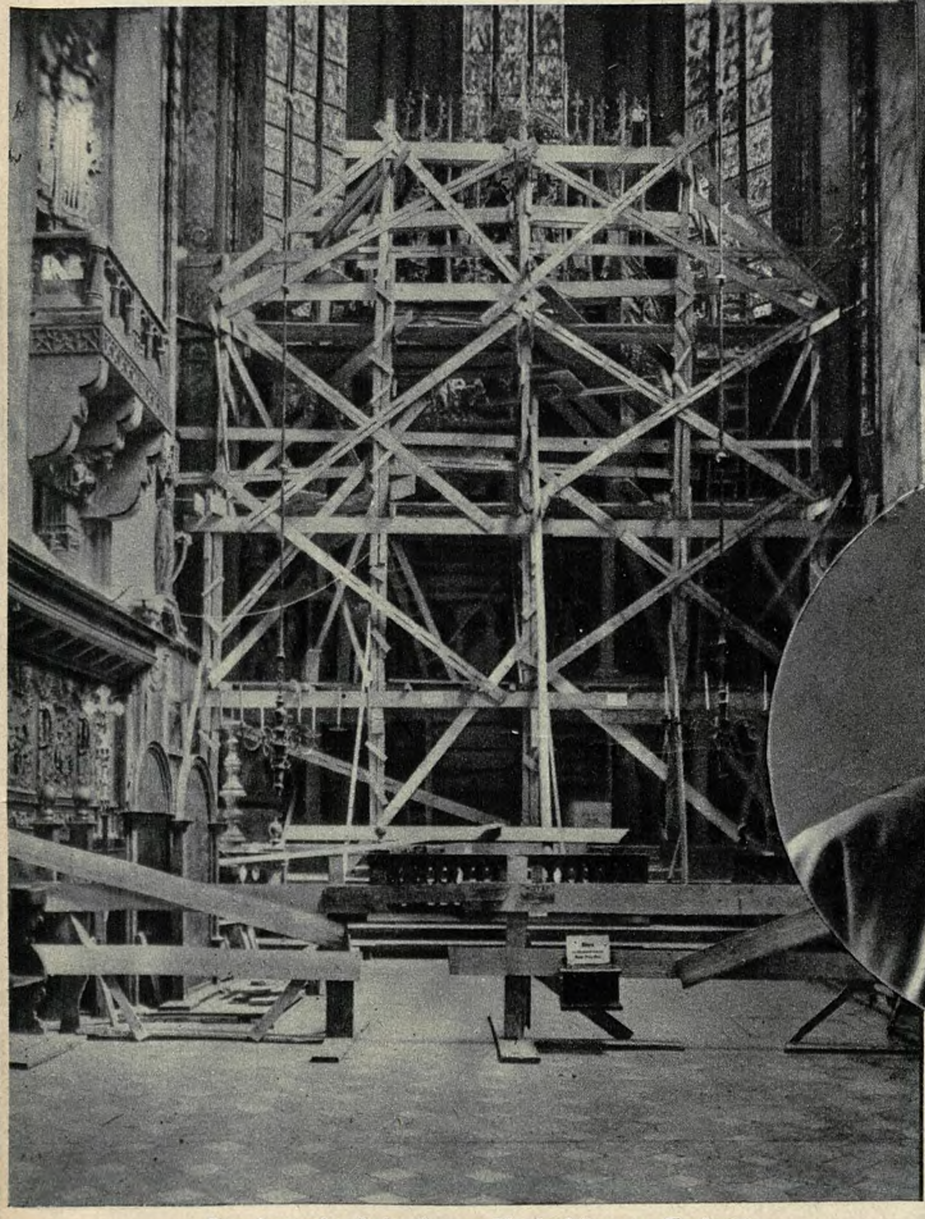
Prof. Makarewicz, znakomity renowator obrazów, przy pracy nad ołtarzem Stwosza w Krakowie.



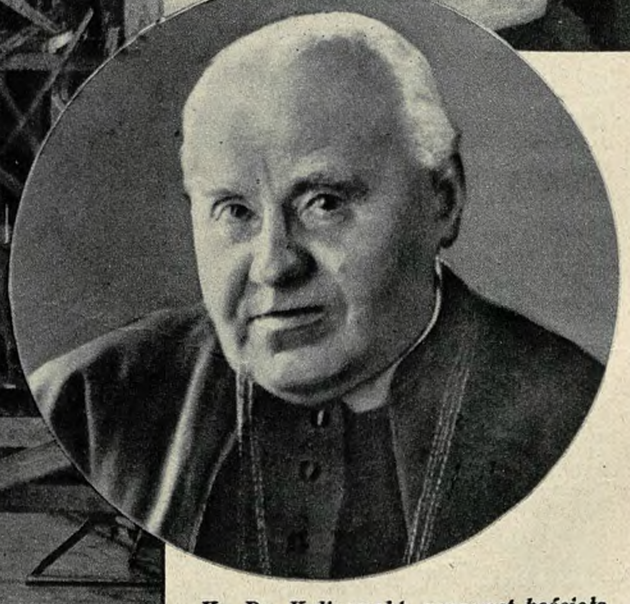
Dr. Stanisław Tomkowicz, prezes Komitetu odnowienia ołtarza Stwosza, znakomity badacz i historyk sztuki, prezes komisji dla badania historji sztuki w Polsce, przy Polskiej Akademji Umiejętności.



Fragment z ołtarza Marjackiego Wita Stwosza (Pojmanie Chrystusa). Na lewo głowa wojownika w średniowiecznym hełmie. Twarz tej postaci nosi rysy wybitnie polskie, na co nawet niemieccy badacze zwrócili uwagę. Wedle dzisiejszego stanu wiedzy, sztuka Stwosza tkwi korzeniami we Flandrji i w Burgundji, nie ma zaś nic wspólnego z twórczością niemiecką. *(J. L.)*



Rusztowanie obok ołtarza Marjackiego w Krakowie.



Ks. Dr. Kulinowski, prepozyt kościoła Najśw. Panny Marji w Krakowie, z którego inicjatywy przystąpiono do odnowienia ołtarza Marjackiego.

NA MARGINESIE ZAWODÓW WIOŚLARSKICH
O MISTRZOSTWO POLSKI.

Ostatni tydzień sportowy upłynął pod znakiem dwóch wielkich wydarzeń wioślarskich. Pierwszem z nich to start polskich wioślarzy w Los Angeles, gdzie zdobyli drugie miejsce w biegu dwójek ze sternikiem, a dwa trzecie w czwórce ze sternikiem i dwójce bez sternika. Sukcesy te przyniosły Polsce cztery punkty w klasyfikacji ogólnej, dzięki czemu znaleźliśmy się na miejscu dwunastem, ex aequo z Australją.

Za Polską znalazły się kraje o wysokiej kulturze fizycznej. Na ogólną ilość biorących udział 47 państw, miejsce zajęte przez Polskę, oznacza wielki postęp polskiego sportu, dokonany w ostatnich latach.

Drugiem wielkiem wydarzeniem były doroczne mi-



Czwórka Bydgoskiego Klubu Wioślarek, która zdobyła mistrzostwo Polski.



Kawiecki i Łukaszewski z Tow. Wiośl. Płock, którzy zdobyli mistrzostwo Polski w biegu dwójek bez sternika.

strzostwa wioślarskie w Bydgoszczy, które aczkolwiek odbyły się bez udziału osad olimpijskich, to jednak udowodniły, że poza niemi mamy jeszcze wielu doskonałych wioślarzy, mogących z powodzeniem bronić barw polskich zagranicą.

Mistrzostwa rozpoczęły się biegami pań. W czwórkach mistrzostwo odebrał zeszłorocznym mistrzyniom — Warszawiankom Bydgoski Klub Wioślarek, zdobywając sobie wielki aplauz licznie zebranej lokalnej publiczności. W jedynkach tytuł pierwszej mistrzyni Polski na skifie (dotychczas konkurencja ta nie była rozgrywana) zdobyła pani Janina Grabicka z Warszawskiego Klubu Wioślarek.

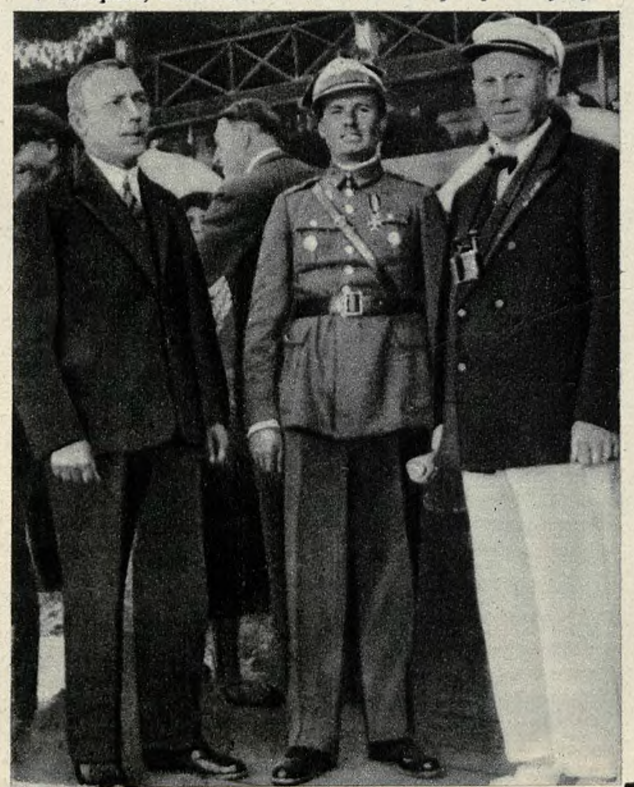
Równie zacięte były biegi panów, a zdobycie mistrzostwa, w żadnym bodaj biegu nie przyszło zbyt łatwo. Największą sensacją regat było zdobycie mistrzostwa Polski na dwójce bez sternika przez dwójkę: Kawecki i Łukaszewski z Płocka. Klasyczna ta konkurencja należy do najtrudniejszych i dotychczas była domeną Klubu Wioślarskiego „04“ z Poznania. Klub ten pozbawiony możności wystawienia swych „olimpijczyków“ zgłosił rezerwową dwójkę, która nadspodziewanie uległa Płockowi.

W jedynkach i dwójkach podwójnych triumfował Kraków. Roger Verey (AZS Kraków) zdobył po raz wtóry mistrzostwo Polski, zaś wraz z Ustupskim wygrał mistrzostwo dwójek podwójnych. Mistrzostwo dwójek ze sternikiem po raz czwarty powędrowało do Włocławka, a zdobyli je Grabowski i Szelągowski. Fatalny przebieg miał wyścig czwórek bez sternika, podczas którego doszło do dwukrotnej kolizji i w rezultacie zdyskwalifikowania osady Klubu Wioślarskiego „04“ Poznań. Mistrzostwo otrzymała osada Bydgoskiego Tow. Wioślarskiego.

Klub Wioślarski „04“ pozostał jednak nadal najsilniejszym klubem wioślarskim Polski, mimo iż z posiadanych w r. ub. pięciu mistrzostw zdołał obronić tylko dwa, lecz dwa najważniejsze, a to czwórek ze sternikiem i ósemek. Osady klubu są doskonale wyszkolone technicznie, a dobrze przeprowadzony trening doprowadził je do szczytu formy na sierpień.



Dwójka A. Z. S. Kraków: R. Verey (pierwszy od lewej) i Ustupski, mistrzowie Polski na dwójce podwójnej.



Na regatach obecny był szereg osób ze sfer rządowych i samorząd. Na zdjęciu od lewej: p. starosta Bereta, gen. Thomme i prez. Zw. Wiośl. p. J. Bojańczyk z Włocławka.

W całości zawody o mistrzostwo wykazały, że polskie wioślarstwo dysponuje kilkoma doskonałymi osadami, na co wskazują chociażby uzyskane czasy, w kilku wypadkach (czwórka ze sternikiem zwłaszcza), będące lepszymi od rekordów, ustanowionych na mistrzostwach Europy, trzy lata temu na torze bydgoskim. W wioślarstwie wprawdzie czasy nie odgrywają takiej roli, jak np. w lekkoatletyce, lecz zawsze są pewnym miernikiem poziomu osad, którego lekceważyć nie można.

Nakoniec trzeba zaznaczyć, że polskie wioślarstwo czeka jeszcze jedna próba, a będą nią regaty o mistrzostwo Europy, które w r. b. odbędą się w Belgradzie. Jugosławja, będąca gospodarzem zawodów,



Mistrzowska ósemka Klubu Wioślarskiego 04 z Poznania, która po raz piąty z rzędu zdobyła tytuł mistrzowski.

przygotowuje się bardzo pilnie do regat, a wyniki osiągane przez osady jugosłowiańskie w latach ubiegłych pozwalają mniemać, że wioślarze jugosłowiańscy będą w tym roku szczególnie groźni dla Polaków.

Mimo to Polska wyjeżdża do Jugosławji nie bez szans na zdobycie nawet kilku mistrzostw Europy. Na pierwszym planie wymienić należy doskonałą czwórkę poznańską ze sternikiem, dalej ósemkę tegoż klubu, dwójkę podwójną AZS Kraków i jedynkę tegoż klubu, wreszcie dwójkę ze sternikiem Włocławka. Osady te zostały przez związek zakwalifikowane do regat, a ponieważ sprzyja nam konjunktura, gdyż najlepsze osady nie zdążą powrócić na termin mistrzostw Europy (4 września), więc kto wie, czy na pierwszem miejscu i to bardzo zasłużenie, nie znajdzie się Polska.

Przy tem wszystkiem są także i minusy. Ktokolwiek widział ostatnie regaty o mistrzostwo Polski musiał stwierdzić z przykrością, że popularność sportu regatowego w Polsce upada. Dwie — trzy osady w każdym biegu o mistrzostwo to stanowczo za mało, jak na ambicje czołowego kraju w sporcie wioślarskim. A trzeba wiedzieć, że tylko wielkie zwycięstwa regatowe przynoszą Polsce doraźne korzyści, jeśli chodzi o propagandę kraju. Jednego mistrzostwa Europy nie zastąpi sto najprzyjemniejszych wycieczek. O tym jednak fakcie zdają się wioślarze polscy zapominać. Dowodzą także tego faktu biegi kategorji juniorów i nowicjuszy, które odbyły się również przy słabej konkurencji. W kilku biegach zwyciężały te same osady, co także nie świadczy dodatnio o poziomie pozostałych osad.

Jedno tylko pozostało bez zmian, a mianowicie organizacja regat, która była jak zwykle doskonała.

Rozdania nagród dokonał prezes P. Z. T. W. p. Bojańczyk, nagrodę p. Prez. Rzplitej za bieg ósemek wręczył p. wojewoda Raczyński osadzie K. W. „04“ Poznań.

Wł. Długoszewski.

NA FALI DZIEWCZĘCEGO MARZENIA.

Wielka tajemnica, jaką kryje przed nami życie, jest szczególnie nęcącą zagadką dla dorastającej młodzieży. Uczuciowe serduszka dziewczęce, wstępujących w życie młodych panienek, biją niespokojnie zwłaszcza u progu świątyni miłości, której obraz w marzeniach wyśniony jawi się w najczarowniejszych kształtach. Choć bowiem zmieniły się warunki wychowania i zdobywają kobiety pełnię praw w równouprawnieniu, nie przestały i nie przestaną być sobą, a trudno zaprzeczyć, iż przeznaczeniem kobiety była, jest i będzie... miłość.

Więc mimo, iż studja a potem praca zawodowa absorbują umysły, pielęgnuje świat dziewczęcy swe czarowne sny, poddając się ich urokowi zwłaszcza wówczas, gdy wakacje czy inne wolne od zajęć dni pozwalają na oderwanie myśli od codziennej troski i puszczenie wodzy marzeniom. A zakres tych marzeń powiększył się niebywale w naszych czasach.

Co było nieosiągalną bajką jeszcze niedawno — nieomal urzeczywistnia się w naszych oczach.

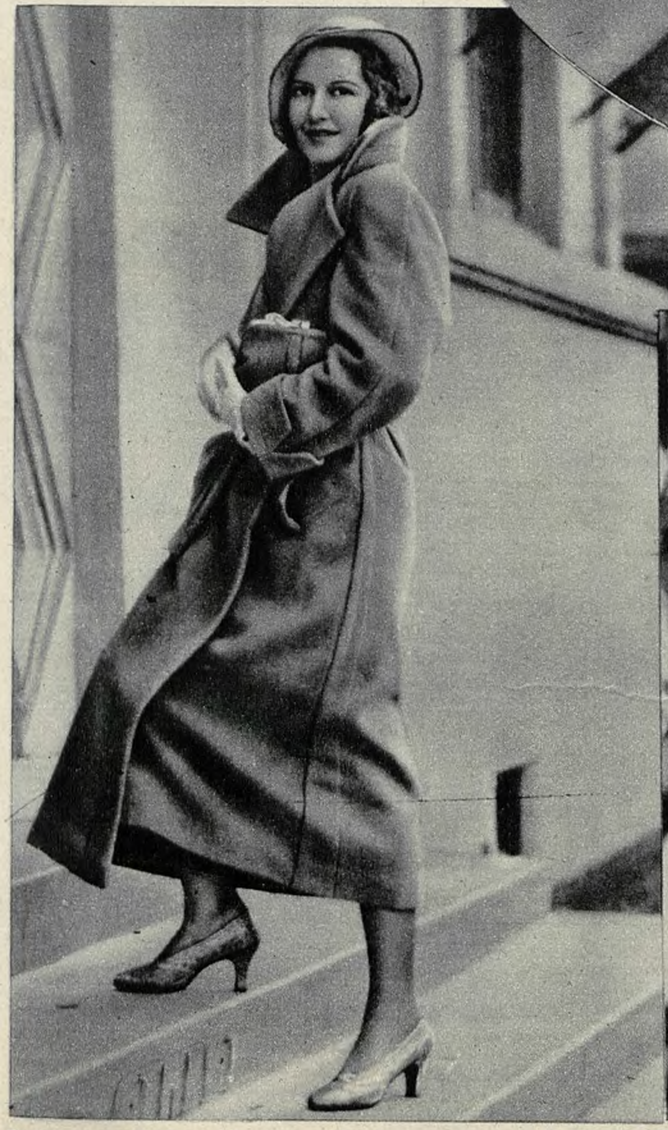
Młoda para odbywa podróż poślubną — samolotem! Wyjazd zagranicę, pobyt w najczarowniejszych zakątkach świata, zwiedzanie miast i kontemplacja wspaniałych tworów ręki i ducha ludzkiego wespół z przyszłym towarzyszem życia — to owa kraina baśni, jakiej dziś pragnie i jaką może przeżyć wstępująca w życie... młodość.

Wiadomo dzielnej współczesnej dziewczynie, że czeka ją ciężki trud życia, ale jej romantyczne serduszko lgnie całą siłą do przeżyć pierwszej wiosny, które pozostaną kapitałem serdecznym na całe życie, z którego płynąć będzie wiara w młodzieńcze ideały, siła do stawienia czoła przeciwnościom i owa niezniszczalna moc ducha, jaką dają przeżycia wzniosłe, wyrastające ponad przeciętną miarę codziennej rzeczywistości.

I kiedy wstępuje taka osóbka po raz pierwszy w swój przyszły dom, śmiało stawia nóżkę na jego progu, a w oczach jej płonie święty mocny ogień wiary w własne siły. A taka wiara to połowa zwycięstwa!

DO X.





Solidny podróżny płaszcz z grubszej wełny w kolorze beige. Torebka i buciki z jaszczurki.



Skórzana kurtka i turbanik z szalem z wzorzystego jedwabiu to praktyczny i elegancki strój dla młodej osoby do podróży samolotem.



Ślubna tualeta z białej charmeusy, przybrana aksamitnemi listkami białemi w formie wysokiego paska. Ten sam motyw podtrzymuje welon na główce.

PO ZGONIE PANI PREZYDENTOWEJ MOŚCICKIEJ.



Śp. Michalina Mościcka, żona p. Prezydenta Rzeczypospolitej, zmarła dnia 18 sierpnia b. r. w Spale. Pogrzeb Jej odbył się dnia 20-go b. m. w Warszawie.

Są zgony, które wstrząsają, zgony, które budzą chwilę poważnej zadumy, zgony, na które reagujemy minutą milczenia i są zgony, którym towarzyszy głębokie wzruszenie serc i żal bezmierny.

Taki żal wywołał cichy, niespodziewany dla szerszego ogółu zgon ś. p. Michaliny Mościckiej, małżonki pana Prezydenta Rzeczypospolitej, jednej z wielkich świetlanych postaci kobiecych Polski niepodległej, zgasłej dn. 18 b. m. w Spale.

Ś. p. Prezydentowa Michalina Mościcka, z domu Czyżewska, urodzona w 1872 r. w ziemi płockiej, po ukończeniu gimnazjum w Płocku i uzyskaniu patentu nauczycielskiego, zamierzała poświęcić się temu zawodowi. Jednak, poślubiwszy w 1892 r. absolwenta politechniki ryskiej, Ignacego Mościckiego, wkrótce po ślubie zmuszona była wyjechać razem z nim zagranicę, wskutek prześladowań Jej małżonka przez władze rosyjskie za udział Jego w ruchu niepodległościowym.

W początkowo ciężkiej walce o byt, w Londynie i Fryburgu, pani Mościcka stworzyła ukochanemu swemu mężowi pełne ciepła i serdeczności ognisko rodzinne i była pełną zrozumienia powiernicą Jego pomysłów i projektów wynalazczych. Jako gorąca patrjotka, oddana całem sercem idei niepodległości, brała również, wraz ze swym małżonkiem, żywy udział w ruchu intelektualnym i organizacyjnym emigracji polskiej.

Po przeniesieniu się do Lwowa, wzięła pani Mościcka gorący udział w życiu społecznem i dzięki bogatemu doświadczeniu, zdobytemu zagranicą i wybitnej umiejętności organizacyjnej, odegrała wielką rolę w życiu organizacji i stowarzyszeń o zadaniach obywatelskich i humanitarnych. Wyrazem uznania i popularności było powołanie Jej w skład rady miasta Lwowa. Szczególne zasługi położyła pani Mościcka w dziedzinie pracy obywatelskiej kobiet. Przez dłuższy czas była przewodniczącą Ligi Kobiet we Lwowie, poświęcając od chwili wybuchu wojny światowej swe siły i energję w sprawie legjonów, pracując z zapałem i oddaniem w okresie ich organizowania, a następnie przez cały czas ich istnienia. Entuzjastka idei niepodległościowej czuła się dumną, że oddała na służbę tej idei nietylko pracę i trud osobisty, lecz także to, co miała najdroższego: dwóch swoich starszych synów, którzy na pierwszy zew pospieszyli pod sztandar legjonowy. Piękną kartę w życiu i działalności ś. p. Prezydentowej Mościckiej stanowi również Jej udział w pamiętnym okresie obrony Lwowa w roku 1918/19. Jedyna Jej córka Helena, jedna z pierwszych, stanęła w szeregach Ochotniczej Legji Kobiet, pani Mościcka zaś pracowała w organizacjach kobiecych, działających obecnie na terenie Lwowa.

Jako małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, kierowała ś. p. Mościcka całym szeregiem doniosłych akcyj obywatelskich, wykazując w każdej dziedzinie pracy publicznej niewyczerpany zasób energji, ofiarności, serca i rozumu.

Zorganizowała wielką i owocną w skutkach akcję pomocy dla ofiar olrzymiej powodzi, która latem 1927 r. nawiedziła Małopolskę i stanęła na czele utworzonego w tym celu w Warszawie Centralnego Komitetu Społecznego Pomocy Ofiarom Powodzi. Zorganizowana przez nią pomoc wydała rezultaty bardzo poważne. Poza doraźną pomocą finansową i gospodarczą, akcja ta objęła pomoc dla powodzian w formie dostarczania im żywności, odzieży, oraz dachu nad głową, jak również opiekę sanitarną i opiekę nad dziećmi, których dożywianie stało się jednem z głównych zadań Komitetu. Zorganizowawszy cały aparat tej akcji, ś. p. Prezydentowa Mościcka udała się osobiście na czele specjalnej delegacji do najbardziej dotkniętych miejscowości. Gdy zaś nadszedł moment likwidowania tej organizacji, ś. p. Prezydentowa Mościcka zainicjowała w ramach tamtej inną, niemniej doniosłą akcję: utworzenia z pozostałych funduszów „Ośrodków zdrowia i opieki społecznej“ na terenach popowodziowych, która to akcja rozszerzyła się stopniowo na całe państwo i nabrała charakteru ogólno-społecznego. W ten sposób powstało piękne dzieło, jako trwały pomnik akcji pomocy powodzianom, związany nierozerwalnie z nazwiskiem ś. p. Michaliny Mościckiej, jako jego inicjatorki i twórczyni.

Gdy odeszła — towarzyszy Jej szczery żal całego społeczeństwa, a pamięć o Niej pozostanie na długo w sercach naszych.

B.



Duchowieństwo otwierające orszak żałobny. W pośrodku ks. biskup polowy Gall, po prawej biskup częstochowski ks. Kubina, po lewej biskup pelpliński ks. Okoniewski.



W pogrzebie ś. p. Michaliny Mościckiej wzięły udział nieprzebrane tłumy publiczności (na zdjęciu), które w żałobnem skupieniu odprowadziły na miejsce wiecznego spoczynku Pierwszą Panią Rzeczypospolitej.



Przeniesienie trumny do grobowca na cmentarzu Powązkowskim.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AGENCJI FOT. „ŚWIATOWIDA“.



P. Prezydent Rzplitej przed Katedrą św. Jana w Warszawie, na chwilę przed wyruszeniem konduktu na cmentarz.



Marszałek Piłsudski podczas nabożeństwa żałobnego w Katedrze. Pierwszy po lewej prezes Rady Ministrów, p. Prystor.

„Wizerunki“ — Szarada.

Ułoż. J. Ursel-Wonschowa, czł. Kl. Szer.

Pierwsza do *czwartej* życia nigdy nie ustaje,
Lecz tak nie królowała jeszcze *pierwsza = druga*...
Skrzydlaty husarz polski w wyobraźni staje:
W słońcu błyszczy przyłbica, za nim kurzu smuga,
Na koniu pędem leci — podobny do ptaka...
Dzisiejszy — w pełnej zbroi — przypomina raka...

Dziś *trzecia = pierwsza* wojny straszliwa, ponura,
Rycerz — to *pierwsza = trzecia*, wizja gorączkowa,
Na obrazie tam — gazów otacza go chmura
I to straszydło w masce pod swe skrzydła chowa...
Bardzo brzydki, naprawdę, „chłopcy malowani“ —
Zostawią wizerunek potomności w dani...

Gdy kiedyś — już po wiekach — młodziutka mamusia,
Piękna *czwarta* i *pierwsza*, w leciutkim kostjumie,
Pragnąc czegoś z historji nauczyć synusia —
Trzecia = czwarta wyszuka gdzieś w szpargałów tłumie
Portret swego pradziadzia... w tej dzisiejszej zbroi—
Dziecko płaczem wybuchnie, że się... „dziadzia“ boi!

Za rozwiązanie niniejszej szarady Redakcja „Światowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 3. września 1932. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 32

SZARADA: Niemcy alarmują, że Polacy Gdańsk zajmują.

ŁAMIGŁÓWKA-WYSUWANKA:

		3			6	
	2	K		5	O	
1	M	U	4	S	P	7
I	E	S	Z	N	O	T
E	N	J	E	S	T	N
A	P	O	Ł	Y	O	S
Ł	E	M	M	Ą	D	R
O	Ś	Ć	K	R	O	C
Z	Y		P	O		W
O			L			I

Komu spieszno, ten jest na poły osłem: mądrość kroczy powoli.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 32 nadesłali:

J. Adamska, Poznań; St. Biesiada, Ozorków; Z. Połonez, Warszawa; „Sierpień“; Aleks. Kostynka, Brześć; Ir. Wendzyńska, Brześć; Aleks. Butkiewicz, Warszawa; F. Wachulska, Jaworzno; A. Szeworski, Nowy Sącz; W. Machlejdówna, Warszawa; A. Szmytowa, Poznań; St. Kornaszewski, Inowrocław; Wład. Radymski, Lublin; Z. Żukowa, Jędrzejów; Ajszpur, Królewszczyzna; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; L. Bronner, Kraków; A. Rotter, Kraków; Grenicheux, Warszawa; J. Książczakowa, Warszawa; Gaspardowa, Warszawa; Eug. Szutowiczówna, Nowa-Wilejka; Z. Szałkowska, Wilno; H. Buczkówna, Rzeszów; R. Mendrala, Rzeszów; J. Krasnowski, Warszawa; M. Malkiewiczówna, Rzekuń; „Lipczyk“, Warszawa; „Wilnianka, Dubno; **Zygmunt Pieracki, Wilno (zł. 30.—)**; Jawna Kowalska, Warszawa; Wł. Pochmarski, Lwów; J. Rogowski, Warszawa; Bol. Jurczyk, Krynica; T. Fedejko, Przemyśl; L. Lenartowski, Poznań; I. Wajsfeld, Pińczów; „Bezrobotny“; Z. Łobodziński, Kraków; W. Gadomski, Kraków; Kaz. Piliński, Kraków; „Wichurka“, Kraków; Jan. Kalasiewiczówna, Kraków; T. Cieszewski, Wilno; Olga Szymonowicz, Lwów; „Abiturjent“, Lwów; M. Sipowicz, Łuniniec; sierż. Wład. Kalasiewicz, Wilno; „Jim i Jill“; Halinka z Gdańska; I. Frezerowa, Ossówiec; **Wiktor Kortylewicz, Poznań (zł. 20.—)**; G. Meigerowa, Kraków; Ceska z Rzeszowa; J. Maziarz, Ozorków; Jadwiga Tyblewska, Poznań; Stanisław Nowicki, Poznań; Adam Borowicz, Poznań; Wacław Tyblewski, Poznań; L. Gąsiorowiczowa, Łęczyca; „Jotel“, Warszawa; K. Puchowicz, Warszawa; M. Gorzecka, Piwniczna; Marjan Jagusiński, Kraków; ks. Leopold Klementowski, Tarnopol; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; H. Gąsiorowa, Częstochowa; **J. Głuchowska, Pińczów (zł. 10.—)**; M. Uxowa, Łódź; Danuta Piekosińska, Brzezowiec; H. Raczyńska, Łódź; Em. Pasierb, Tarnów; „Jawnuta“ Słonim; mgr. M. Gastman, Tarnów; Z. Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; Wład. Boner, Lwów; J. Englert, Lwów; Dzidka Darmasówna, Łask; Kaz. Olpiński, Warszawa; por. Tadeusz Dadej, Warszawa; Kaz. Kalinowska, Lwów; Zenon Fonferko, Przemyśl; Dorota Herbstmanówna, Wisła; T. Sobecki, Poznań; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; Cz. Kozłowski, Warszawa; W. Wysocki, Skierniewice; Stef. Kosińska, Łuck; „Allach“, Sosnowiec.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Zygmunta Pierackiego, Wilno (zł. 30.—), Wiktora Kortylewicza, Poznań (zł. 20.—) i J. Głuchowską, Pińczów (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida“ wyżej wymienionym prześle nagrody niebawem.

ZAKOCHANY CZELISTA.

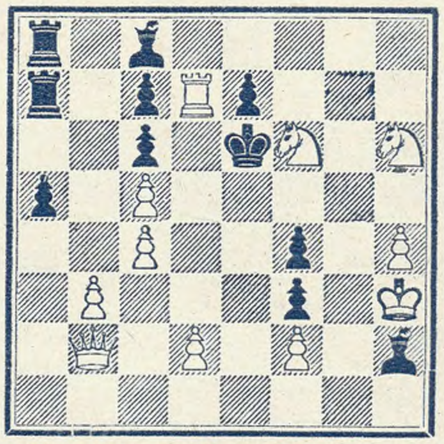


Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

E. Plesnivy (I nagr. w konk. Chocholusz-Memorial 1931).

Czarne: Ke6, Wa7a8, Gc8h2, piony: a5, c6, c7, e7, f3, f4 (11).



Białe: Kh3, Hb2, Wd7, Sf6h6, piony: b3, c4, c5, d2, f2, h4 (11).

3-chodówka. 11 + 11 = 22.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki E. Plesnivego: 1. H—a1 grozi W—d5).
I. 1... G—d7 2. S—h7 i 3×;
II. 1... G—b7 2. W—d4 i 3×;
III. 1... e×f6 2. f7 i 3×.

PARTJA.

Białe: **Brinckmann** Czarne: **Sämisch**
grana w turnieju w Swinemüde w r. b.

Gra gońca królewskiego.

1. e4 e5	15. g4 **(1)** d4
2. S—f3 S—c6	16. h4? G—d8
3. G—c4 S—f6	17. K—b1 W—e6
4. d3 G—e7	18. S—d2 H—a4
5. S—c3 0—0	19. Wd—g1 G—e7
6. G—g5 d6	20. g5 W—a6
7. h3 G—e6	21. S—b3 H×a2+
8. G—b3 h6	22. K—c1 G—b4! **(2)**
9. G×f6 G×f6	23. S—d2 H—a1+
10. S—d5 G×d5	24. S—b1 W—a2
11. G×d5 H—d7	25. c4 d×c
12. G×e6 H×e6	26. g× W×b2
13. H—e2 Wf—e8	**Białe poddały się.**
14. 0—0—0 d5	

UWAGI:

(1) Przedwczesny atak, nieprzygotowany należycie.

(2) Grozi 23... H—a1+ 24. S×a1 W×a1 mat.

SZARE MYDŁO W MAŁPIEJ MEDYCYNIE.



Na wewnątrz... zamiast na zewnątrz.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 35 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 27-go sierpnia 1932 r.*